SOBOTA Nr 1 3 I 1981 Cena 1.50

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKOW

ZABAWKI MILITARNE – tak czy nie?

W nrze 126 „ŚM" zamieściliśmy informację o interpelacji do Sejmu PRL w sprawie zlikwidowania zabawek militarnych. Nasi Czytelnicy mają na ten temat bardzo różne opinie, sądząc po listach, które otrzymaliśmy. „...Nie uczmy dzieci wojny, przemocy i gwałtu, nie pozwólmy, aby strzelały nam w plecy – choć bronią jest tylko zabawka" – pisze do nas pani Kalińska. „...Chłopcy bardzo lubią czołgi, samoloty, okręty. Przeczytałem artykuł w „ŚM" i wcale go nie popieram! Zapytajcie tylko chłopców z klas I–VI, nie ma takiego co by nie miał żołnierzyków w domu..." – to głos Jędrzeja Nosala z Sosnowca.

Więc – jak jest z tymi zabawkami – potrzebne są czy szkodliwe? Jakie macie argumenty „za" i „przeciw"?

(kl)

TO DZIEWCZĘTA skandalicznie się zachowały

Bardzo często chcę napisać do Was w sprawach poruszanych przez czytelników. Artykuł pt. „Skandaliczne zachowanie się chłopców w szkole" tak dalece mną wstrząsnął, że postanowiłam w końcu wysłać list.

Jak wynika z artykułu, Krzysiek został mocno pobity i poraniony. Anka opisuje to jako naoczny świadek, czyli była obecna przy tej bójce. I teraz najważniejsze: oburza mnie postawa Anki! Czyżby jej też groziło niebezpieczeństwo ze strony Tomka? Dlaczego nie próbowała interweniować? Dlaczego odeszła spokojnie na lekcję, gdy Krzysiek został związany i nie mógł dać sobie sam rady? Dlaczego nie odezwała się na boisku, gdy maltretowano Krzyśka?

Na te pytania jest chyba jedna odpowiedź: **Anka powinna czuć się winna za to, że Krzysiek został bez niczyjej pomocy. Jak można było dopuścić do tak niesamowitej sytuacji i nie wszcząć alarmu! Jest to jedynie przykład bezgranicznej znieczulicy!**

Jak pisze Anka, świadkami było kilka dziewczyn. Czy naprawdę nie potrafiły one nic zdziałać? A może ta historyjka powinna otrzymać inny tytuł np. „Skandaliczne zachowanie się dziewczyn w szkole".

„Grażyna"

Harcerze z Ursusa w akcji PCK

(Inf. wł.). Do akcji Polskiego Czerwonego Krzyża zbierania darów pieniężnych i rzeczowych na pomoc ofiarom tragicznego trzęsienia ziemi we Włoszech, włączyli się od razu harcerze z Ursusa. Członkowie szczepów 373, 374, 375 i 376 zorganizowali w swych szkołach błyskawiczną zbiórkę darów. W ciągu kilku dni zebrano ponad 10 tys. złotych gotówką, a wartość darów rzeczowych, wśród których przeważały ubrania, koce i śpiwory, wyniosła 15 tys. złotych. **(kż)**

Stale pamiętaj o mierzeniu kierunku i odległości,

ABYŚ NIE MINĄŁ CELU!

Wędrówki z mapą czyli wskazówki Obieżyświata – str. 2

Fot. K. Adamowski

PŁYWAJĄCE FABRYKI

(PAP). Na świecie istnieje już około 40 pływających fabryk, czyli zakładów produkcyjnych zakotwiczonych na pełnym morzu lub na rzekach. Oprócz względów transportowo-organizacyjnych tego rodzaju fabryki sprzyjają akcji ochrony środowiska. Na wodzie instalowane są elektrownie, rafinerie ropy, wytwórnie papieru, destylarnie słonej wody. Do pływających fabryk należy również zaliczyć statki rybackie-przetwórnie. Z krajów wysoko uprzemysłowionych w tych inwestycjach specjalizuje się Japonia. W Kanadzie natomiast od dawna pracują na rzekach pływające papiernie. **(kż)**

SZKOŁA Z WASILKOWA najlepsza w białostockiem

Już od wielu lat prowadzi się sportową klasyfikację naszych szkół. Jak dotąd podsumowano rywalizację jedynie na szczeblu wojewódzkim. W klasyfikacji bierze się pod uwagę osiągnięcia w różnych imprezach, odpowiednio punktując wywalczone w nich lokaty. Miło nam donieść, że Zbiorcza Szkoła Gminna z Wasilkowa, znana już z dobrych występów w czwórboju „Świata Młodych", przewodzi na liście szkół województwa białostockiego. Reprezentanci Wasilkowa wyraźnie górowali nad rywalami; zdobyli ogółem aż 636 pkt, wyprzedzając SP nr 15 – 405 pkt. i SP nr 25 – 371 pkt. (obie Białystok).

Najmocniejszym punktem liderów jest lekkoatletyka (niedawno ustanowili trzy nowe rekordy województwa), a zwłaszcza biegi terenowe. Podczas ostatnich krajowych finałów biegów sztafetowych wasilkowianie zajęli V miejsce. Gratulujemy!

(zp)

„JEJ KRYSZTAŁOWA MOŚĆ" LICZY SOBIE SPORO LATEK...

(CAF). Ten niezmiernie uroczysty tytuł jest „własnością" przepięknego żyrandola, wykonanego w 1764 roku dla biskupa miasta Metz we Francji. Przetrwał on bez uszczerbku kilka wojen, ozdabiając przez całe lata pałace Ludwika XVIII, Ludwika Filipa, Napoleona III i wielu prezydentów Francji. Teraz stanowi ogromną atrakcję (trudno się dziwić!) Muzeum Kryształu w Paryżu. **(kl)**

W 75-LECIE PIERWSZEJ LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA DLA POLAKA

„...Pomysł do „Quo vadis" powstał we mnie przy czytaniu annałów Tacyta, który jest jednym z najulubieńszych moich pisarzy, i podczas dłuższego pobytu w Rzymie. Słynny malarz polski Siemiradzki (...) był moim przewodnikiem po wiecznym mieście i podczas jednej z naszych wędrówek pokazał mi kapliczkę „Quo vadis". Wtedy to powziąłem myśl napisania powieści z owej epoki..." – pisał Henryk Sienkiewicz.

Tak więc powstała wspaniała powieść „Quo vadis", za którą pisarz otrzymał w roku 1905 najwyższą, najzaszczytniejszą z nagród literackich – Nagrodę Nobla. **(kl)**

Na zdjęciu: dyplom i medal Nagrody Nobla, przyznany Henrykowi Sienkiewiczowi

Gdyby ode mnie zależało

REPORTER Świata Młodych

CHCIAŁABYM ABY BYŁO ŁADNIEJ!

Spodobała mi się bardzo Twoja propozycja pisania o tym co jest złe, co chcemy zmienić w naszym otoczeniu. Wiele spraw mnie bolało, gdy widziałam i widzę, że nic się nie da zmienić (może teraz?). Chciałam do kogoś napisać, wyżalić się, nie wiedziałam do kogo i nagle Ty wychodzisz z tak świetną propozycją (dziękuję!).

Mieszkam w bloku czteropiętrowym na I piętrze. Blok mój ma już 14 lat (tyle ile ja), jest obskurny, brzydki. Klatki schodowe są niezagospodarowane, brudne – nie wiem za co bierze pieniądze nasza sprzątaczka, drzwi wejściowe do bloku są niepomalowane (zapomniano widocznie). Zewnętrzna strona bloku także woła o pomstę do niebios: tynki odpadają, blok osiada z każdym rokiem coraz bardziej w ziemię, papa na dachu jest niesmołowana od 14 lat, dlatego też ludzie wraz z każdą odwilżą lub deszczem mają powódź i „grzyby" w domu. Piwnice zalewane są prawie co dwa tygodnie nieczystościami (co powoduje niszczenie produktów żywnościowych znajdujących się w piwnicach) a brudna woda wlewa się do mieszkań parterowych. Ludzie płaczą, narzekają, że cały parkiet w ich mieszkaniach gnije, wypacza się.

Z okien mojego mieszkania rozciąga się okropny, przygnębiający widok. Jest tu śmietnik wykonany z blachy, nie posiada podłoża betonowego, pojemniki na śmieci są niedezynfekowane, pogięte, stare, często nie są opróżniane. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni mamy plagę much, które wszelkimi szparami dostają się do naszych mieszkań.

W naszym bloku jest kotłownia zalewana co kilka tygodni brudną wodą, niszczejąca w oczach (chodzi tu o kotły i wszelkie urządzenia). Wiadomo, że do ogrzania mieszkań potrzebny jest koks. Hałdy jego całymi nieraz miesiącami leżą pod naszymi oknami. Najgorzej jest w lecie, gdy pod wpływem ciepła koks wydaje duszny, gryzący zapach. Mieszkańcy naszego bloku wiele razy zwracali się o uprzątnięcie koksu (cud się teraz stał, bo co pewien czas przyjeżdża spychacz i sprząta koks), proszą także o przeniesienie śmietnika w inne miejsce (teraz stoi tam prywatny, nowy garaż), zagospodarowanie terenu tego podwórka, bo zapomniałam powiedzieć, że nasze podwórko to piach i kurz. Niedawno władze naszego miasta miały to miejsce posypać żwirem, niestety, bez skutku są wszystkie nasze prośby! Moja mama wysłała już niezliczone ilości podań do zarządu osiedlowego, do prezydenta miasta – nawet nie ma odpowiedzi...

Powiem Ci, Redakcjo, że serce mi się kraje jak widzę tyle znieczulicy, brzydactwa na terenie miasta i całej Polski. Powiedz mi, czy nie piękniej byłoby mieszkać na podwórkach pełnych zieleni, kwiatów, słońca, a nie żwiru i koksu?

Anna Ginter

KAJTEK jest sprytny i lubi mnie

Mam w domu bardzo sympatyczną polną myszkę. Nazywa się Kajtek. Jest ona u mnie w domu około pół roku. Trzymamy ją w klatce z drutu. Przeważnie jednak chodzi po domu. Bardzo trudno jest ją złapać, jest malutka i sprytna. W pogodne dni wychodzę z nią na powietrze. Karmię ją ziarenkami owsa, żyta i pszenicy. Chętnie zjada sałatę i pije mleko. Kajtek lubi mnie i ja go też lubię.

Artur Sakowicz

„NOWA" nas zawiodła

Ewa przyszła do naszej klasy trzy tygodnie temu i wszyscy myśleli, że będzie fajną i równą koleżanką. Okazała się jednak inna: pewna siebie, naburmuszona, lubiąca brać na litość. Przed klasówką mówi, że się nie nauczyła, a na klasówce płacze. Może w jej dawnej szkole wzruszało to kolegów, że Ewka pochodzi z wielodzietnej rodziny. Dla nas to nie ma znaczenia. Przecież każdy z nas ma obowiązki i jakoś się z nich wywiązuje.

Zastanawialiśmy się jak jej pomóc, jak wytłumaczyć materiał, w którym ma bardzo duże braki. Zorganizowaliśmy samopomoc koleżeńską. Mnie przypadło tłumaczenie Ewie geografii. Umówiłam się więc z nią u mnie w domu. Nie przyszła. Nie przyszła także następnego dnia. Wybrałam się do niej z wizytą, ale nie było jej. Klasa zaofiarowała jej pomoc, a Ewa to zlekceważyła. Teraz otrzymuje dwóję za dwóją.

Mirka z Gdyni

MIESZKAM PRZY BARDZO RUCHLIWEJ ULICY

Słyszy się w radio i czyta w gazetach o coraz częstszych wypadkach na jezdni. A jednak bezmyślność ludzka przewyższa stopień rozsądku i rozwagi. Winę ponoszą bezmyślni kierowcy, którzy nie uwzględniają dozwolonej szybkości i nie zatrzymują się przed przejściem dla pieszych. Ale nie tylko oni są za to odpowiedzialni. W dużej mierze wypadki powodują piesi.

Ponieważ mieszkam przy bardzo ruchliwej, wylotowej jezdni, mam możność obserwowania ludzi, którzy poruszają się po ulicy. Wszyscy przechodnie bez względu na wiek biegną na przełaj ulicy, między trąbiącymi samochodami, nie korzystając z zeber. Jakże często między pojazdami defiluje sprawny młodzieniec. Jeśli jednak starsza osoba pragnie szybko dostać się na drugą stronę, sprawa jest gorsza. Nie obejrzy się, gdy nawet znajduje się o dwa centymetry od samochodu. Nierzadko na jezdnię wchodzą kobiety z małymi dziećmi, które narażają przecież nie tylko siebie.

Jak to jest? – dorośli powinni dawać nam przykład a dzieje się odwrotnie.

Violetta Brajer

ALARM w sprawie lektur szkolnych

Jestem uczniem I klasy technikum. W mojej szkole znajduje się biblioteka posiadająca 36 tys. książek. Mimo to, jeśli chodzi o lektury, nie jest ich wystarczająco dużo. Pierwszych klas jest cztery i każda mniej więcej w tym samym czasie opracowuje lekturę i niestety, nie wszyscy mogą korzystać z książek biblioteki szkolnej. Pozostaje więc biblioteka miejska, ale tam sytuacja jest jeszcze gorsza. Lektur jest tam tak mało, że niektóre pozycje są reprezentowane przez dwie lub trzy książki. Gdy ani tu, ani tu nie ma lektury, można ją jeszcze kupić. Kupić można i nie można. Można teoretycznie, a praktycznie, niestety, nie. Chyba trzeba coś zrobić w tej sprawie i zaoszczędzić uczniom niepotrzebnej bieganiny.

Maciej Zwarycz,

*

Lektur szkolnych w bibliotekach nie ma! Jestem uczniem V klasy Szkoły Podstawowej nr 2 w Olsztynie. Gdy pytałem w naszej bibliotece szkolnej o lekturę historyczną do V klasy „Wojna trojańska" J. Parandowskiego, odpowiedziano mi: „takiej książki w naszej bibliotece nie ma". Nie ma też lektury do języka polskiego pt. „Wilczęta z czarnego podwórza" Marii Dąbrowskiej. Znam wiele takich przykładów, ale o nich już nie będę pisał.

Adam

*

Chodzę do klasy szóstej. Pytaliście, jak jest z lekturami do języka polskiego. Więc odpowiadam Wam, że jeśli pani w szkole zada nam lekturę do czytania, to trzeba jej szukać. Szukałem książki pt. „Plama na Złotej Puszczy" dobre pół tygodnia i latałem tu, i z powrotem. Nigdzie nie było! Sytuacja z lekturami jest bardzo zła, ale nie tylko z lekturami. Tak dalej być nie może!!!

Karol Zdanowski,

Wędrówka z mapą czyli wskazówki Obieżyświata (3)

AZYMUT to jest dopiero to!

Podstawowym sprzętem umożliwiającym orientację w terenie jest kompas inaczej zwany busolą. Jedną z ważniejszych umiejętności harcerskich jest umiejętność wykonywania marszu na azymut. Azymut wyznaczamy w stosunku do północy geograficznej w stopniach (rys. 1). Robi się to w następujący sposób:

– **Rysujemy kredką na mapie kierunek marszu OA,** gdzie O oznacza punkt w którym się znajdujemy obecnie, natomiast A to punkt, do którego chcemy dotrzeć;

– **Jeśli wybieramy się do B rysujemy linię OB;**

– **Następnie wytyczamy linię wyznaczającą kierunek północny OY.** Otrzymamy w ten sposób:

Azymut YOA, który na skali kompasu lub kątomierza odczytujemy w stopniach jako 140°, lub azymut YOB wynoszący 240°. **Mierzy się zawsze w stosunku do kierunku północnego zgodnie z ruchem wskazówek zegarka.**

Przed wyruszeniem w drogę trzeba jednak zmierzyć długość trasy. Jeśli teren jest względnie płaski możemy ją odczytać z mapy. Jeśli jednak droga jest ukształtowana w sposób urozmaicony to trzeba będzie doliczyć pewną odległość do tej, którą przebylibyśmy „jak strzelił".

A oto już praktyczne wskazówki marszu na azymut:

1) Tak ustawić skalę kompasu, aby liczba oznaczająca azymut znajdowała się na przeciw wskazówki.

2) Trzymając kompas na wysokości oczu obracać się wokół własnej osi do momentu, gdy wskazówka wskaże północ. Trzeba pamiętać o odchyleniu między biegunem płn. wskazywanym przez wskazówkę, a północą geograficzną, która znajduje się nieco w prawo od kierunku pokazywanego przez wskazówkę.

3) Po tych czynnościach znajdujemy się twarzą do kierunku marszu.

Ponieważ nie możemy, nie ryzykując potknięcia wpatrywać się bez przerwy we wskazówkę kompasu, musimy na kierunku naszego marszu wyznaczać cele pośrednie, na które się będziemy orientować. W warunkach ograniczonej widoczności cele pośrednie będziemy wyznaczać odpowiednio częściej. **Stale należy pamiętać o mierzeniu odległości, aby nie minąć celu!**

Początkowo najlepiej ćwiczyć na niewielkich dystansach do 3 km. W miarę zwiększania dystansu niewielkie błędy popełnione w stopniach zmieniają się w duże odchylenia w kilometrach. **Życzymy bezbłędnych przemarszów i dużo cierpliwości!**

OBIEŻYŚWIAT
Rys. **Barbara Koseska**

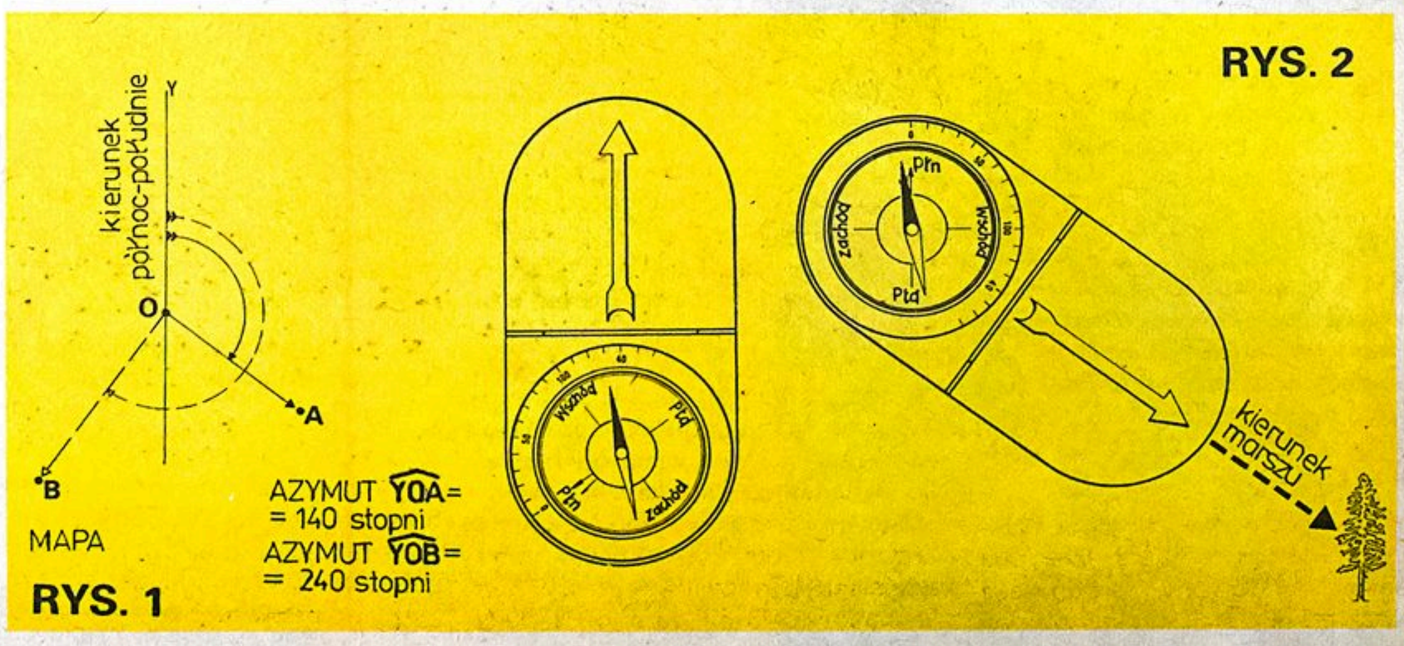

ZREZYGNOWAĆ Z „OGONA"

Wszyscy troje są uczniami szkoły średniej w Kaliszu. Są instruktorami, prowadzą drużyny w szkołach podstawowych. Jeszcze niedawno sami byli przyjmowani do drużyn HSPS, teraz obserwują jak przebiega ten nabór w ich szkołach. Niestety – jak mówią – zbyt często łączy się on z przymusem.

Adam: Nie wiem, jak wygląda stawianie na masowość w ZHP od strony Głównej Kwatery czy Komendy Chorągwi (choć przypuszczam, że i tam z większym zadowoleniem przyjmuje się do wiadomości, iż w danym środowisku zamiast tysiąca harcerzy działa kilkanaście tysięcy). Natomiast wiem, jak zależy na tej masowości na przykład dyrekcjom szkół. Rozumiem, że pewnie muszą się one rozliczać (tylko przed kim?) z liczby członków ZHP. Ale to prowadzi do sytuacji, w której zamiast dobrej pracy poszczególnych harcerzy, dobrej pracy drużyn, ważna staje się tylko i jedynie ilość. Mniej ostro występuje to zjawisko w szkołach podstawowych, natomiast śmiem twierdzić, że w średnich jest nagminne.

Ewa: Kiedy przyszłam do naszego liceum, na początku roku odbyła się wieczornica dla wszystkich klas pierwszych. A potem okazało się, że najlepiej widziane jest zapisywanie się w stu procentach. Wkrótce zrozumiałam, że w taki właśnie sposób powstają te rzesze harcerzy, którzy praktycznie nic nie robią. Ale należą! I przy różnych okazjach, typu rady pedagogicznej, podsumowania półrocza czy podsumowania roku szkolnego można z dumą podawać, że jest np. 99 uczniów w harcerstwie. Bez względu na to, jak która klasa w rzeczywistości pracuje, zawsze ta zorganizowana w stu procentach uznawana jest za lepszą od „mającej braki".

Radek: Kiedy ja wstępowałem do drużyny HSPS, nie było nawet takiej wieczornicy. o jakiej mówiła Ewa. Po prostu wychowawczyni rozdała nam kwestionariusze, w których wypełnialiśmy m.in. rubryczkę, do której organizacji chcemy się zapisać. Oczywiście nie było mowy o przymusie, no więc nie wszyscy zapisali się do ZHP. I dopiero zaczęły się dla nich typowe „przyjemności". Taki pierwszoklasista, zagubiony jeszcze trochę w nowej szkole, po którymś z kolei pytaniu nauczyciela „dlaczegoś się nie zapisał?!", w końcu się decydował. Żeby go nareszcie przestali dusić. Żeby już nie musiał w dniu mundurowym chodzić w białej koszuli i granatowych spodniach, jak to jest przyjęte w naszej szkole. Nawet swetra na tę koszulę założyć nie wolno, bo w ten sposób od razu widać, kto nie należy do ZHP. Po pierwszym roku zostało w naszej klasie sześcioro takich delikwentów, a po drugim już tylko dwóch chłopaków, którzy są najtwardsi i niczym się nie przejmują. Ale przymusu nie ma. Skądże!

Adam: Z przynależności do harcerstwa w wielu szkołach, i to nie tylko średnich, zrobiono sobie dodatkowe kryterium oceny ze sprawowania. ZHP dla dyrekcji to w ogóle taki osiołek, na którym można się wyżywać, nakładając na niego coraz więcej obowiązków. Dlaczego raptem harcerstwo musi być tak związane ze szkołą? Gdzie się podziały te wszystkie drużyny podwórkowe, środowiskowe?

Ewa: Mnie nie przeszkadza to, że szczep harcerski działa przy szkole. Byleby tylko był samodzielną organizacją, a nie, jak to jest obecnie, podstawową siłą wykonawczą dla szkoły. Szkoła musi się gdzieś pokazać – idą oczywiście harcerze. Zaczyna się wtedy bieganina w celu pożyczenia mundurów. Przecież to w sumie nie ma sensu. Bo większość tych „harcerzy" od reprezentowania nie ma zielonego pojęcia o harcerstwie. Gdyby zaś byli w ZHP jedynie ci, którzy naprawdę chcą, na pewno bez problemów poświęciliby mu nie tylko jedno popołudnie w tygodniu. A czy grupa np. pięćdziesięcioosobowa, świetnie umundurowana, świetnie ustawiona nie wyglądałaby na imprezie o wiele lepiej niż taka banda kilkusetosobowa, wlokąca się noga za nogą, w byle jak noszonych mundurach. Trochę ciężko przy każdej okazji ciągnąć za sobą ten „ogon" zmuszanych.

Adam: Moim zdaniem, harcerze powinni działać na zasadzie paczek koleżeńskich, zgranych, znających się na wylot, rozwijających swoje zainteresowania. Taki właśnie powinien być zastęp. Tymczasem wystarczy spojrzeć na zastępy choćby w naszej szkole. Są to twory całkiem sztuczne, które powstały na podstawie listy w dzienniku: od pierwszego do dziesiątego numeru – pierwszy zastęp, od dziesiątego do dwudziestego – drugi, od dwudziestego do trzydziestego – trzeci. No bo skoro już wszyscy należą, to w ten sposób najłatwiej dzielić. Jeśli nadal będzie rosła liczba członków, organizacja będzie działała coraz gorzej. Coraz więcej będzie takich, dla których mundur jest jedynie ciężarem.

Radek: Właśnie. Harcerstwo chyba za mało się ceni. Ono tylko zachęca, namawia, zaprasza. A zapomina o czymś tak niezbędnym dla dobrego funkcjonowania jak selekcja.

Ewa: Ostra selekcja. Musi być szacunek dla tradycji, dla munduru, bo w końcu samo to, że ktoś założy mundur, nie oznacza jeszcze wcale, że staje się przez to harcerzem. Na przynależność do ZHP powinno się zasłużyć, powinna być ona nagrodą, a wtedy działalność będzie przynosiła satysfakcję.

Opracowała **EWA KOSIŃSKA**

Solidarność z przyrodą

„Świat Młodych": – Niedawno wasze, krakowskie środowisko ludzi zainteresowanych ochroną przyrody wystosowało do Sejmu list otwarty. Brzmi on dramatycznie. Mowa w nim wręcz o ekologicznej katastrofie, w obliczu której znalazł się nasz kraj...

Krystian Waksmundzki: – ... I nie ma w tym przesady. A świadczą o tym nie głosy pięknoduchów, zakochanych w przyrodzie, lecz poważne opinie uczonych, twórców, lekarzy. Wskazują one, że mamy dziś w kraju mnóstwo takich miejsc, gdzie nie tylko zdewastowany jest krajobraz, ale gdzie ludzie bez narażenia się na utratę zdrowia nie są w stanie żyć.

Przypomina mi się wizyta w hucie w Skawinie... Oprowadzali nas robotnicy z „Solidarności". Jak szliśmy z ministrem Szałajdą i prezydentem Krakowa przez wydział anody, to na metr nic nie było widać, a ludzie z huty mówili, że ta trasa to ich – „ścieżka zdrowia"! Postulujemy dziś, aby zamknąć tę hutę, bo prowadzi do coraz częstszych chorbó nie tylko jej pracowników...

Inny przykład: Huta im. Lenina, 700 ognisk szkodliwych emisji! W ogóle Kraków jest już tak zagrożony, że zaczyna się go zwać „wyspą śmierci" Najbardziej mu szkodzą spaliny węglowe, mieszanina toksycznych gazów tak różnych, że się trudno przed nimi uchronić, a do tego promieniotwórczych...

Dalej: Śląsk, rejon Płocka, rafineria Portu Północnego, Bełchatów, Adamów, Lubin. I niestety, im bardziej „sztandarowa" inwestycja – tym wyższą ma lokatę na tej ekologicznej czarnej liście...

„ŚM": – A przecież wiele z tych inwestycji powstawało równolegle z ogromnym szumem wokół ochrony środowiska, jaki miał miejsce na początku lat siedemdziesiątych, z tworzeniem specjalnych, odpowiedzialnych za nią instytucji...

K.W.: – Cóż z tego, skoro nie działających właściwie. Przez lata cała organizacja ochrony środowiska w naszym kraju stała praktycznie na głowie. Przykład? Parki narodowe podlegały ministerstwu leśnictwa, które wyznacza plan wyrębów. No i mamy dziś wokół parków ogromne, wyrąbane łysiny. Za filtry dla Huty Lenina odpowiada jej własny wydział ochrony środowiska – no i torpeduje zakładanie filtrów w źle pojętym interesie swojego zakładu. Itd., itd. – mógłbym mnożyć takie przykłady.

Organizacje społeczne też nie zdały egzaminu. PTTK – zamiast organizować turystykę w zgodzie z przyrodą, a nie przeciw niej – rozkręciło masowe rajdy, przyczyniło się do zbędnej zabudowy w parkach narodowych, do budowania dróg i przecierania całej masy szlaków, którymi walą coraz większe tłumy do tych najbardziej zadeptanych miejsc. Zaś Liga Ochrony Przyrody stała się towarzystwem wzajemnej adoracji, wygodnym azylem dla wielu ludzi, co zamiast działać – utrącali szereg inicjatyw. Tu, w Krakowie, cała najbardziej aktywna grupa działaczy tej Ligi została odrzucona, bo im zanadto przeszkadzała...

Nawet Państwowa Rada Ochrony Przyrody, kiedyś tak aktywna, przeszła ostatnio kolosalny regres. W ogóle naukowcy robili za mało, nie stawiali ostro tych spraw...

„ŚM": – Bo też chyba ich zadanie – to poznawanie przyrody, a nie organizowanie jej ochrony?

K.W.: – Uważam, że naukowiec nie powinien się zamykać w pracowni, zwłaszcza, gdy zajmuje się zagadnieniami tak ważnymi dla wszystkich. Mówi pan – poznawanie... Otóż wielu nie tyle poznawaniem się zajmowało, co karierą! I jak powstawał jakiś obiekt przemysłowy, szkodliwy dla środowiska – to zawsze znalazł się ktoś, kto napisał przychylną ekspertyzę...

Wielu naukowców było oderwanych od życia, nie przypuszczało, że to wszystko przekroczy takie granice. Ale też wielu wiedziało i starało się przeciwdziałać – choćby tu, w Krakowie...

„ŚM": – Ale przeciwdziałali widać nieskutecznie. skoro doszło do aż takiego zła?

K.W.: – Niestety. Wszystkie prace dotyczące zanieczyszczeń, dewastacji, negatywne ekspertyzy – były tłamszone, ośmieszane, wyciszane. W 1978 r. widząc, że postępuje dewastacja parków narodowych, że szerzy się w nich bezprawie, a dyrekcje pozostają bezradne – wystąpiliśmy o utworzenie Towarzystwa Przyjaciół Parków Narodowych. Był statut, lista członków – od studentów po prof. Mięsowicza. A kto rzecz utrącił? LOP! Bo ich to – powiadali – nie interesuje! Mimo tych i im podobnych przeszkód – walczyliśmy tu, w Krakowie, już w latach siedemdziesiątych, słaliśmy petycje, wyłanialiśmy z tego środowiska kandydatów do Sejmu... Dziś ludzie najbardziej zaprawieni w tych bojach stanowią właśnie zręb Polskiego Klubu Ekologicznego.

„ŚM": – Jego najważniejsze zadanie?

K.W.: – Zastąpić nie działające organizacje i wywierać nacisk na wszystkie czynniki odpowiedzialne za ochronę, patrzeć im na ręce. Muszą to oczywiście robić ludzie przygotowani, dlatego też w Klubie działa wielu znakomitych naukowców. Przyjęliśmy tylko zasadę: żadnych „karierowych" nazwisk. Chcemy, żeby do nas trafiali ludzie z jak najróżniejszych środowisk, zwłaszcza, iż życie dowodzi, że nie tylko fachowcy mają w tych sprawach coś do powiedzenia.

W ogóle świadomość tych zagrożeń środowiska jest w społeczeństwie duża. Także wśród robotników, którzy już przecież w tym roku dali nam dowody dojrzałości i rozsądku. Mnie zaimponowali zwłaszcza przedstawiciele „Solidarności" w hucie Skawina – znajomością rzeczy, spokojem, taktem. Już 26 lat działam na ochroniarskiej niwie, a z czymś takim jeszcze się nie spotkałem...

„ŚM": – Jakie widzi pan szanse wyjścia z kryzysu? Co robić, by to się udało?

K.W.: – Tylko jedno: przestrzegać prawa. Tego właśnie, jako Klub, będziemy strzec. A myślę, że teraz właśnie w Polsce prawo zacznie być przestrzegane i dlatego, gdy idzie o sytuację ekologiczną, jestem optymistą. Sądzę więc, że tym razem władze dadzą się przekonać do działalności ochroniarskiej, nie będącej niczym innym, jak walką o dobro człowieka. A ono jest przecież najwyższą wartością w tym ustroju...

Rozmawiał TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

KRYSTIAN WAKSMUNDZKI jest geografem, hydrografem i sozologiem. Pracuje naukowo od 17 lat, a na niwie ochrony środowiska działa od 26 lat. Od 1958 r. jest Strażnikiem Ochrony Przyrody. Jest też członkiem rady Tatrzańskiego i Babiogórskiego Parku Narodowego, zasiada w wielu różnych komisjach. Wchodzi w skład 3-osobowego zarządu powstałego właśnie w Krakowie Polskiego Klubu Ekologicznego, będąc tu zarazem szefem ekspertów ochrony środowiska; takimż szefem jest też w „Solidarności". Dziś rozmawiamy z nim o bardzo niewesołej przeszłości i – miejmy nadzieję – lepszej przyszłości naszego środowiska przyrodniczego, którego zamierza strzec Polski Klub Ekologiczny.

REDAKCYJNA POCZTA

Był klub, ale tylko jeden dzień

W naszym bloku mieszkamy czwarty rok. Od początku marzyliśmy, aby założyć w pobliżu jakiś klub, w którym można by organizować zabawy i różne konkursy. Los uśmiechnął się do nas. Starszy pan odstąpił nam swoją szopkę. Z wielkim entuzjazmem zabraliśmy się do roboty. Ładnie wysprzątaliśmy, wstawiliśmy nowe drzwi i zawiasy, zrobiliśmy ławeczki i atrakcyjną gazetkę. Radość trwała krótko. Na drugi dzień wszystko zostało doszczętnie zdemolowane. Zadajemy sobie wciąż pytanie: kto i dlaczego dopuścił się tak podłego czynu?

Rozgoryczeni

Nie znoszę słowa „kujon"

Mam w klasie koleżankę, która interesuje się stopniami innych. Na przerwach tylko jeden temat podejmuje: Anka się „wykuła", bo dostała czwórkę, a Ewka „kuła" do 12.00 w nocy, bo dostała piątkę". Nie podoba mi się to i absolutnie się z nią nie zgadzam. Jeśli ktoś jest zdolny, uważa na lekcjach i ma oczywiście chęć do nauki, to czy musi być nazywany „kujonem"?

Elka

Marzena Dolata

– interesuje się przyrodą, kocha zwierzęta, lubi sport – zwłaszcza pływanie – uczy się języka angielskiego – pragnie nawiązać korespondencję z młodzieżą o podobnych zainteresowaniach.

Nic złego jej nie uczyniłem

Niedawno skończyłam 15 lat. Z tej okazji zaprosiłam do siebie kilka koleżanek i kolegów. Bawiliśmy się wspaniale. Humory dopisywały, wszyscy czuli się znakomicie. Jednakże pewnego dnia dowiedziałam się, że jedna koleżanka chciała popsuć mi tę uroczystość. Wybrała dziwny sposób, aby ten cel osiągnąć. Polegał on na tłumaczeniu i przekonywaniu osób do mnie zaproszonych, aby nie przychodzili na moją imprezę. Mimo że nie udało się jej tego osiągnąć zadaję sobie pytanie – dlaczego to zrobiła? Nic złego tej dziewczynie nie uczyniłam. Czyżby to była zazdrość, o to, że jej nie zaprosiłam? Może listy czytelników pomogę mi zrozumieć jej zachowanie.

Leśka

Lubimy czytać, lecz nie mamy co

Jesteśmy uczniami klasy III. Bardzo lubimy czytać książki – szczególnie baśnie. Znamy wiersze i bajki: Andersena, Konopnickiej, Brzechwy, Tuwima, Porazińskiej i innych. Przeczytaliśmy już wszystkie książki z naszej małej biblioteki. Dlatego zwracamy się z apelem o pomoc do starszych koleżanek i kolegów. Przyślijcie nam książki, których już nie czytacie, z których wyrośliście. Będziemy Wam bardzo wdzięczni.

Szkoła Podstawowa (kl. III)
Czchów – Trawniki
32-860 Czchów

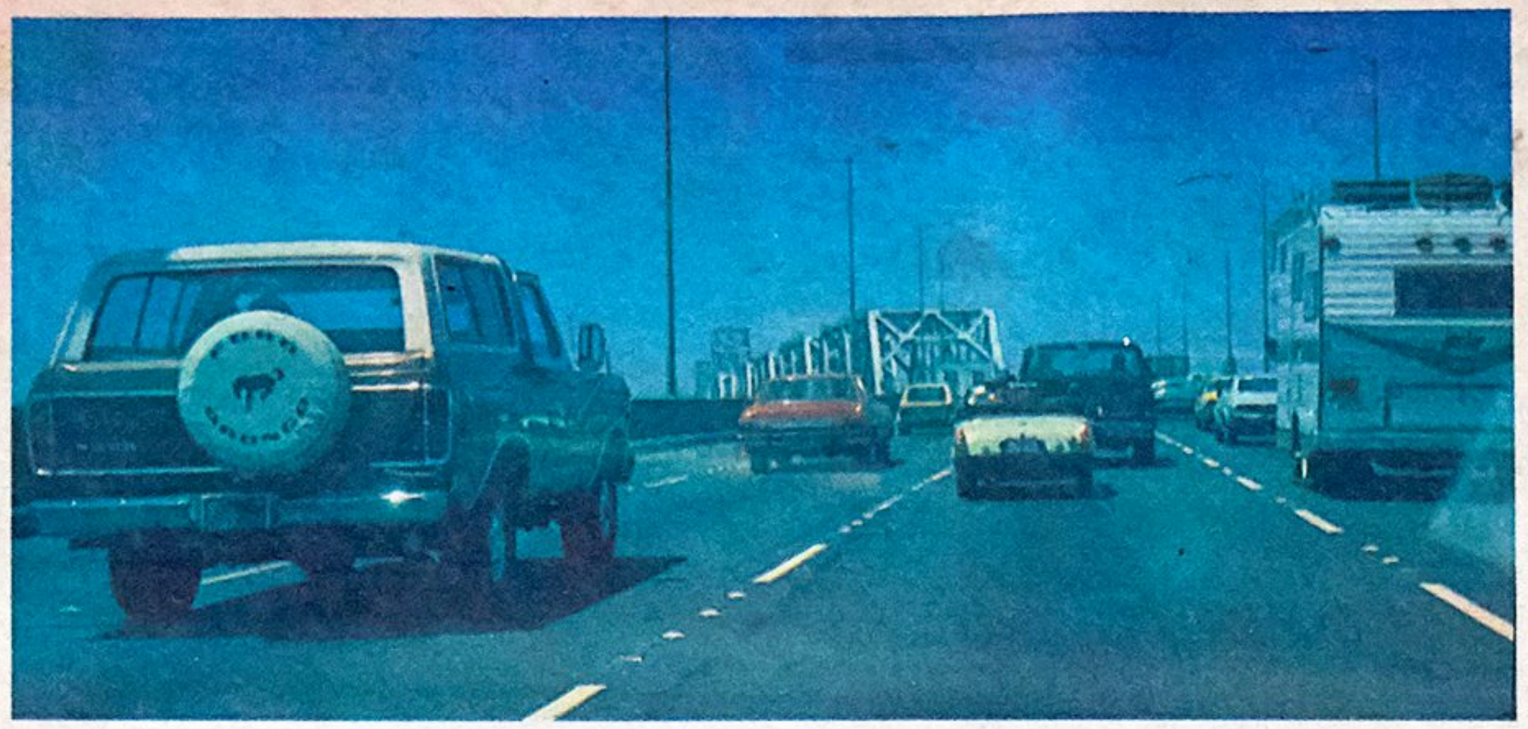

Kalifornijskie spotkania (2)

BEZ SAMOCHODU – jak bez ręki...

Aby przedstawić czym jest dla Amerykanina samochód, posłużę się przykładem miasta Los Angeles. Wybieram je nie dlatego, że to najbardziej rozległe z miast Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ani dlatego, że stoi wśród tych miast na drugim miejscu pod względem liczby mieszkańców, zaraz po New Yorku, lecz po prostu z tego powodu, że tam byłem i na własne oczy widziałem, na własnej skórze odczułem, co to znaczy żyć w Ameryce bez samochodu.

Zespół miejski Los Angeles składa się z przeszło stu większych i mniejszych samodzielnych miast, oddzielonych tylko administracyjnymi granicami, których dopiero trzeba szukać na drogowskazach. W obszar miejski tu i ówdzie wkraczają pasma gór nadmorskich, sięgających kilkuset metrów wysokości, częściowo zabudowanych, częściowo czekających swej kolejki.

Napisałem, że każde z miast składających się na wielkie Los Angeles jest samodzielne. To prawda, ale samodzielność ta nie polega jednak na tym, że w każdym z nich można znaleźć każdy rodzaj pracy. Tam w ogóle z pracą nie jest łatwo, toteż nikt nie rezygnuje z posady, choćby dojazd do pracy wymagał przejazdu kilkudziesięciu, albo i stu kilometrów. Z reguły mieszka się w innym mieście, niż się pracuje. A zakupy? W każdej dzielnicy są wielkie i średnie sklepy żywnościowe, do których trzeba też jakoś dojechać. Ale już zakupy ubraniowe, sprawy do załatwienia w urzędzie, w banku, wyprawy do kościoła, teatru, muezum, czy na koncert – wszystko to wymaga wielokilometrowych wypadów, najczęściej do innej dzielnicy tego ogromnego zespołu miejskiego.

Pytacie może, czy nie ma tam metra, które stanowi wspaniały masowy środek komunikacji. Nie, nie ma i budowa jego byłaby nadzwyczaj trudna i niebezpieczna ze względu na możliwość trzęsień ziemi. Poza tym metro, aby działało szybko, nie może mieć przystanków częściej, niż co kilka kilometrów, a w takim promieniu mieszka stosunkowo niewielka liczba ludzi. Dlaczego? Bo prawie cała zabudowa wielkiego miasta Los Angeles, to małe, jednorodzinne, drewniane, parterowe lub najwyżej z mansardami domki, ustawione w małych ogródkath. Tylko w śródmieściu i w śródmieściach kilku największych miast – tworzących zespół – można oglądać budynki biurowe, hotele, budynki urzędów, często wielopiętrowe. Cała reszta Los Angeles, to taki Komorów, lub Milanówek, tylko że pięknie utrzymany.

Ale przecież autobusy miejskie muszą tam istnieć. Owszem, są. Jechałem kiedyś takim autobusem w towarzystwie głównie młodzieży i ludzi mało zarabiających. Odległość około 35 km przejechałem w godzinę i 20 minut. Kiedy indziej tę samą trasę przebyłem samochodem osobowym w pół godziny. A Amerykanom od dziecka wpaja się zasadę, że czas to pieniądz.

Rozumiecie sami, że w takich warunkach posiadanie samochodu to nie jest sprawa pokazania się przed sąsiadami, to nie sposób organizowania wakacji i weekendów, to najdosłowniej konieczność życiowa. Że tak jest, niech poświadczy liczba zarejestrowanych w tym mieście samochodów, przekraczająca 3 miliony na 6 milionów mieszkańców. A pamiętajmy, że do mieszkańców miasta zalicza się niemowlęta i dzieci, i niedołężnych staruszków, kaleki i nieuleczalnie chorych. Tak więc praktycznie prawie każdy dorosły, prowadzący normalne życie mieszkaniec Los Angeles ma własny samochód. Jego brak skazuje go na ogromne straty czasu, na jazdy autobusem, rowerem, czy korzystanie z grzeczności kierowców niezapełnionych aut.

W tej sytuacji nie powinien dziwić fakt, że na ulicach – poza śródmieściem nie ma... chodników. Nie ma, bo są niepotrzebne. Poza terenami śródmiejskimi przechodzień budzi zdziwienie: „Cóż to za dziwny facet, który pieszo idzie po ulicy?" – zdają się mówić miny pracujących w ogródkach mieszkańców. W dzielnicy, w której mieszkałem, odbywałem czasem mały spacer. Sąsiedzi na mój widok wołali grzecznie „Haj", coś w rodzaju „Cześć". Spotykałem czasem ludzi biegających po brzegu jezdni, jako po swojej ścieżce zdrowia, ale przechodnia nie spotkałem ani razu.

Kalifornijczyk kupuje więc samochód. Ale to nie wszystko. Po pierwsze trzeba go gdzieś trzymać, po drugie trzeba go parkować w pobliżu celu podróży, trzeba też dojechać od domu do tego celu. Miejsce na garaż w domku, albo i przy donku stosunkowo łatwo znaleźć. Gorzej z miejscem do parkowania, szczególnie w śródmieściu. Walka o wolne miejsce do ustawiania aut przy chodnikach w śródmieściu nabiera charakteru nowego sportu.

Wyobraźmy sobie godzinę szczytu ruchu pojazdów: rano przed rozpoczęciem pracy i po południu po jej skończeniu. Chyba około połowa zarejestrowanych samochodów rusza wtedy w drogę. Półtora miliona! Czy istnieje sposób, żeby ulice nie zostały tą masą kompletnie zakorkowane? Okazuje się, że istnieje choć bardzo kosztowny. Są to autostrady, zwane tu drogami wolnymi (free way), bo nie ma na nich skrzyżowań, ani sygnalizacji świetlnej zatrzymującej ruch co jakiś czas. Tylko taka trasa potrafi przepuścić ogromną liczbę samochodów w każdej minucie godziny szczytu. Autostrady są wielopasmowe, najczęściej 3+3, lub 4+4 pasma, nie licząc pasa postojowego dla obu kierunków na wypadek awarii. Ale widziałem też odcinki 10-pasmowe. Na skrzyżowaniach zdarzają się rozwiązania trzypoziomowe – trzy jezdnie, jedna nad drugą. Zwykle autostrady przebiegają w wykopie, a zwykłe ulice przecinają je mostami. Są też tunele i estakady. Na przemysłowym przedmieściu San Francisco widziałem free way na dwupoziomowej estakadzie nad terenami fabrycznymi. Jak to wygląda w okolicy śródmieścia Los Angeles, pokazuje fotografia.

Różnorodność typów samochodów jest ogromna. Ostatnio wyraźnie zwiększa się ilość małych i oszczędnych samochodów osobowych, głównie japońskiej produkcji. Rozpowszechnione są samocody (nie przyczepy) campingowe z charakterystycznym obłym kształtem kabiny sypialnej, wysuniętej wysoko, nad szoferką.

Kalifornijczyk tak zżyty jest z samochodem, że najchętniej załatwia swoje sprawy bez wysiadania z niego. Dostosowują się do tego kioski, banki, kina; są nawet kościoły, w których uczestniczy się w nabożeństwie, siedząc w swym wozie!

Bardzo wygodnie żyje się w Kalifornii. Ale już ten ostatni przykład świadczy o „przegięciu pały".

Krąży tu takie powiedzonko: lekarze stwierdzili, że Amerykanie rodzą się z coraz to krótszymi i słabszymi nogami, bo organy nie używane ulegają w organizmach żywych zanikowi. W krzywym zwierciadle tego niby dowcipu odbija się jednak jakaś rzeczywistość...

STANISŁAW WERNER
Fot. **autora**

„Geometra" odpowiada na wątpliwości Czytelników w sprawie zadań matematycznych

ILE DNI SŁONECZNYCH MIAŁ PAN KOWALSKI?

Marek Froń przysłał list, w którym opisał kłopoty swoje i swoich kolegów z klasy, związane z rozwiązaniem następującego zadania. *„Podczas ostatniego urlopu pan Kowalski nie miał najlepszej pogody. W sumie miał 9 pełnych dni z deszczem, ale zawsze, kiedy do południa padał deszcz, popołudnie było słoneczne, a kiedy popołudnie było deszczowe, do południa świeciło słońce. Słońce świeciło 7 ranków i 8 razy po południu. Ile dni trwał urlop pana Kowalskiego?"*

Nic dziwnego, że Marek nie mógł sobie poradzić z tym zadaniem. Przeczytajcie je jeszcze raz. I cóż widzimy? Było 9 **pełnych** dni z deszczem. a jednocześnie zawsze kiedy do południa padał deszcz, po południu świeciło słońce. Te warunki są po prostu sprzeczne. I właściwie tu moglibyśmy przestać się zajmować tym zadaniem, ale... no właśnie. Być może, że Marek niezbyt dokładnie podał nam treść zadania lub nauczycielka pomyliła się przy dyktowaniu jego treści. Zauważcie, że gdy usuniemy z treści zadania słowo „pełnych", sprzeczność zniknie. Rozwiążmy więc to nieco zmodyfikowane zadanie.

Panu Kowalskiemu mogły się zdarzać cztery rodzaje dni urlopowych:
1. Przed południem słońce i po południu słońce.
2. Przed południem słońce, po południu deszcz.
3. Przed południem deszcz, po południu słońce.
4. Przed południem deszcz i po południu deszcz.

Oznaczmy sobie liczbę dni pierwszego rodzaju przez x, drugiego przez y, trzeciego – z i czwartego – t.

Spójrzmy jeszcze raz na treść zadania. Co mamy policzyć? Liczbę dni urlopu pana Kowalskiego, a więc sumę x+y+z+t. A teraz spróbujcie szybko odpowiedzieć na pytanie: czemu jest równe t? Nie wiecie? To jeszcze jedno spojrzenie na treść zadania. I już wiemy: t=0! W takim razie zadanie sprowadza się do policzenia sumy x+y+z.

Jakie związki między x,y,z wynikają z treści zadania?

„...*miał 9 dni z deszczem*..."
$y + z = 9$
„...*słońce świeciło 7 ranków*..."
$x + y = 7$
„...*i 8 razy po południu*..."
$x + z = 8$

Dodajmy teraz te trzy równania stronami:

$2x + 2y + 2z = 24$

Stąd otrzymujemy:

$x + y + z = 12$.

Wobec tego pan Kowalski przebywał 12 dni na urlopie.

Tyle ja...

A teraz mam propozycję dla Was: spróbujcie odpowiedzieć na pytanie: **ile pełnych dni słonecznych zdarzyło się panu Kowalskiemu na urlopie?**

Nagroda? Niewątpliwa satysfakcja!

I jeszcze jeden list, nadesłany przez uczniów ze szkoły podstawowej w Żarach:

„W zeszycie od geometrii mamy rozwiązane zadanie, które jeden z uczniów robił na tablicy i zostało uznane jako poprawne. Na sprawdzianie, który odbył się dwa tygodnie potem było to samo zadanie. Zadanie to większość klasy zrobiła tak, jak miała zapisane w zeszycie. Po oddaniu sprawdzianów stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że pani uznała je za złe. Nie chodzi nam o złe oceny, które na pewno z tego wynikną, lecz głównie o sprawiedliwość nauczycieli wobec uczniów. Bardzo prosimy redakcję o rozstrzygnięcie sporu.

Oto treść jednego z przykładów uznanego przez panią jako dobre w zeszycie

$a = (2,-4)$
$\vec{u} = (0,4)$
$a' = (2+0), (-4+4) = (2,0)$

Odpowiedź 1

$a = (2-0-4-4) = (2,-8)$

Odpowiedz 2

Odpowiedź 2 dotyczy przykładu uznanego przez panią na sprawdzianie".

Uczniowie kl. VIa

Cóż mógłbym odpowiedzieć rozżalonym autorom listu? Przede wszystkim, że **zapomnieli podać treść zadania.** Na podstawie tego, co przytoczyli, mogę się domyślać, że chodzi prawdopodobnie o następujące zadanie: znaleźć obraz a' punktu a = (2,-4) przy przesunięciu o wektor → = (0,4). Wtedy prawidłowym rozwiązaniem jest rozwiązanie pierwsze.

Zaniepokoiło mnie jednak jeszcze coś w tym liście. Kochani! Piszecie, że spotkała Was niesprawiedliwość, bo pani raz uznała jako poprawne jedno rozwiązanie, innym razem inne. Tymczasem nikt z Was nie napisał, które z rozwiązań on uważa za poprawne i dlaczego! Czy naprawdę nie jest ważne dla Was „dlaczego?", a tylko ważne, by... zawsze tak jak w klasie na tablicy?

Mam nadzieję, że pani nie uczy Was wyłącznie bezmyślnego rozwiązywania podobnych zadań według tajemniczych, podanych do wierzenia regułek, bez wyjaśnienia dlaczego właśnie tak... bo wtedy rzeczywiście by Was spotkała niesprawiedliwość losu.

Gdybyście natrafili podczas swoich zmagań z matematyką na zadania, z którymi nie będziecie mogli sobie poradzić, bądź na zadania, które uznacie za ciekawe – napiszcie. Czekam!

„GEOMETRA"

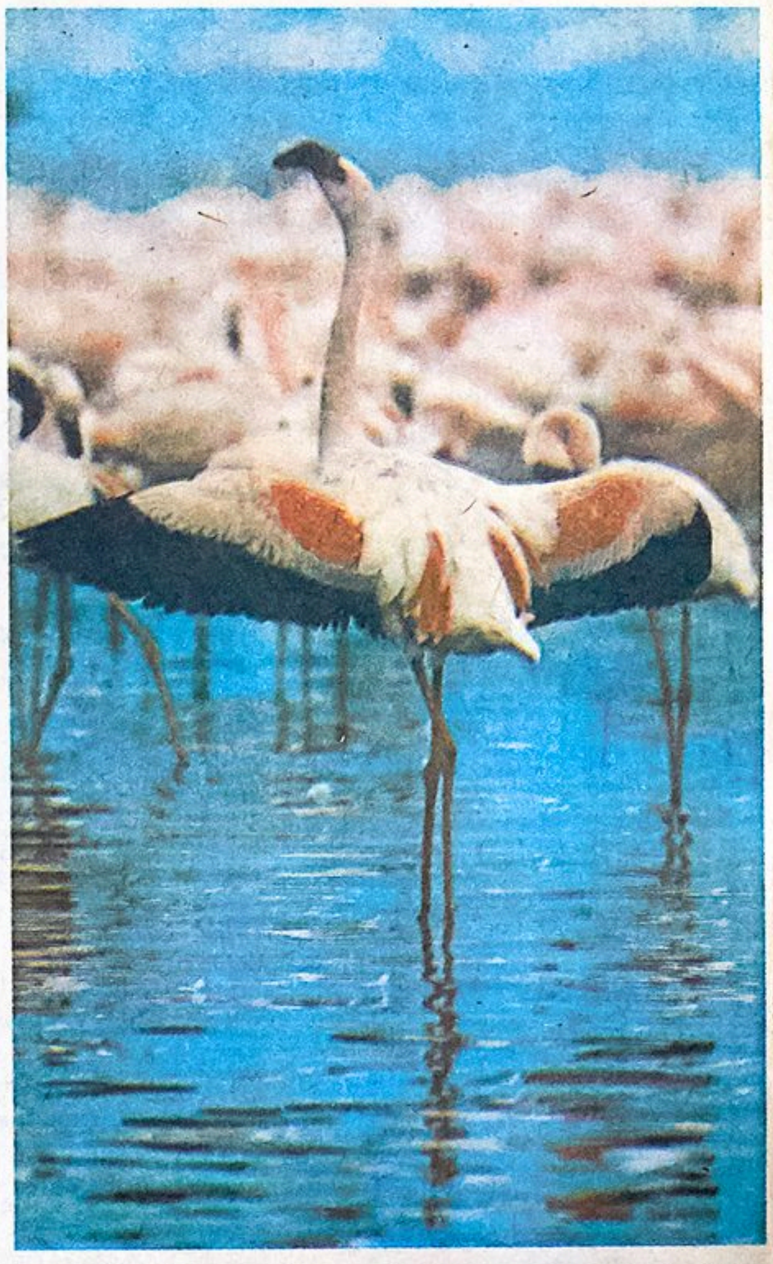

(PAP.) W ogrodzie zoologicznym na wyspie Man piękny flaming zaplątał się w druty i tak zranił nogę, że jej część musiał lekarz weterynarii amputować. Dyrektor ogrodu bardzo przejęty sprawą, kazał sporządzić ptakowi protezę z lekkiego aluminium, a ten – o dziwo – szybko przyzwyczaił się do swojej sztucznej nogi. (kl)

Tomasz Grabowski informuje:

„KLOPSIK" brat „Dropsika" pojechał do Kowna

Klopsik to imię młodego hipopotama karłowatego urodzonego w ZOO w Poznaniu, który przed kilku dniami pojechał w ramach wymiany do litewskiego ZOO w Kownie.

Posiadana przez poznańskie ZOO para hipopotamów karłowatych to jedne z najcenniejszych zwierząt w polskich ogrodach zoologicznych. We wszystkich ogrodach zoologicznych na świecie żyje ich tylko około 200, a wszystkie ściśle zaewidencjonowane w księgach ogrodu zoologicznego w Bazylei. Tak już bowiem jest, że różne ogrody zoologiczne przyjęły na siebie obowiązek prowadzenia ewidencji przebywających w ogrodach czy rezerwatach gatunków zwierząt narażonych na zagładę. Pozwala to na racjonalną ich hodowlę i w ten sposób uchronienie od wyniszczenia. I tak np. warszawski ogród prowadzi księgi rodowodowe żubrów, a ZOO w Pradze – koni Przewalskiego.

Hipopotam karłowaty żyje w wilgotnych lasach Liberii, Gabonu, Sierra Leone. Zoologowie Europy dowiedzieli się jednak o jego istnieniu dopiero w roku 1840 i mimo tego, że pierwszy żywy okaz przywieziono do Europy w roku 1870 jeszcze przez wiele lat nie bardzo wierzono w istnienie tego gatunku sądząc, że są to młode hipopotamy nilowe. Dopiero kiedy w roku 1913 przywieziono do Hamburga 5 żywych dorosłych osobników, wszyscy wreszcie uwierzyli, że hipopotam karłowaty naprawdę istnieje.

Na zdjęciu „Dropsik" młodszy brat „Klopsika" w porannej kąpieli, mieści się doskonale w miednicy, po urodzeniu ważył bowiem niecałe 7 kg. Uzyskanie przychówku od tak cennych zwierząt to ogromny sukces hodowców z poznańskiego ZOO.

Fot. **M. Bądkiewicz**

Oskar Wilde

Szczęśliwy Książę

Tłum. Maria Feldmanowa

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

– Nie, jaskółeczko – odparł biedny książę – ty musisz odlecieć do Egiptu.

– Na zawsze zostanę z tobą! – powtórzyła jaskółka u stóp księcia.

Cały dzień następny siedziała na ramieniu księcia i opowiadała mu dziwne historie, o wszystkim, co widziała w dalekich krajach. Opowiadała o czaplach, jak w długim szeregu stoją nad brzegiem Nilu, dziobami łowiąc złote rybki; opowiadała o Sfinksie, który jest tak stary jak świat, żyje w pustyni i wie o wszystkim; opowiadała o kupcach, jak powoli kroczą obok swych wielbłądów, niosąc w rękach bryły bursztynu; o królu Gór Księżycowych, czarnym jak heban i modlącym się do olbrzymiego kryształu; o zielonym wężu, który śpi na palmie, a dwudziestu kapłanów karmi go plackami z miodem; i o karzełkach, co na szerokich, płaskich liściach przepływają wielkie morze i wiecznie prowadzą wojnę z motylami.

– Jaskółeczko kochana – rzekł książę – cudowne mi opowiadasz historie, ale nad wszystko zajmujące jest ludzkie cierpienie. Żadna tajemnica nie jest tak wielka i potężna jak niedola człowieka. Wzleć nad miasto jaskółeczko, a później mi opowiesz, co tam widziałaś.

Więc jaskółeczka szybowała nad miastem i widziała bogaczy, opływających w zbytkach i rozkoszy, podczas gdy żebracy ginęli u ich progów. Szybowała nad ciemnymi uliczkami i widziała bladę twarzyczki zgłodniałych dzieci, posępnie patrzących na smutne, ponure ulice. Pod arkadami mostu zobaczyła dwóch chłopczyków, oplatali się nawzajem ramionkami, chcąc się rozgrzać.

– Tak nam się chce jeść – jęczeli.

– Nie wolno tu leżeć – burknął policjant przechodząc koło mostu i biedne dzieci musiały wędrować w mrok i deszcz.

Jaskółeczka poleciała do księcia i opowiedziała mu, co widziała.

– Cały jestem pokryty złotem – rzekł książę – musisz ze mnie zdejmować blaszka po blaszce i rozdawać je moim ubogim. Wszyscy ludzie żyjący zawsze sądzą, że złoto daje szczęście.

Więc jaskółeczka zdejmowała dziobkiem jedną złotą blaszkę po drugiej, aż wreszcie szczęśliwy ogołocony z wszystkich ozdób, stał się zupełnie szary. I jaskółeczka nosiła jedną blaszkę po drugiej ubogim, a twarzyczki dzieci zaróżowiły się i rozweseliły.

– Teraz mamy co jeść – szczebiotały na ulicach. Potem nadszedł śnieg, a za nim mróz. Ulice wyglądały, jakby były całe ze srebra, tak się świeciły i migotały. Długie sople lodu niby sztylety kryształowe zwieszały się z dachów, ludzie chodzili otuleni w ciężkie futra, a mali chłopcy w czerwonych czapkach ślizgali się, gdzie tylko napotkali lód.

Biednej jaskółeczce było z każdym dniem zimniej i zimniej, ale zbyt kochała księcia, by go mogła porzucić. Zbierała okruszynki przed piekarnią, gdy piekarz się oddalał, i starała się rozgrzać, ustawicznie trzepocząc skrzydełkami.

Ostatecznie jednak poczuła, że zbliża się jej koniec. Tyle jeszcze miała siły, by wzlecieć na ramię księcia. Żegnaj, kochany książę – szepnęła – czy mogę ucałować twą rękę?

– Cieszę się, jaskółeczko, że wreszcie odlatujesz do Egiptu; zbyt długo już tu bawiłaś – rzekł książę.

– Ale musisz mnie pocałować w usta, bo cię kocham.

– Ja nie odlatuję do Egiptu – odparła jaskółeczka – lecz do krainy Śmierci. Śmierć jest siostrą snu, nieprawdaż?

Ucałowała szczęśliwego księcia w usta i nieżywa padła u jego stóp. W tejże chwili z wnętrza pomnika wydobył się dziwny dźwięk, jakby coś pękło. Istotnie pękło w nim ołowiane serce. Bo też mróz był straszliwy...

Nazajutrz wczesnym rankiem burmistrz przechadzał się po mieście w towarzystwie radców miejskich. Przechodząc koło pomnika, rzucił nań okiem i krzyknął: – Na Boga! Jakże nędznie wygląda szczęśliwy książę!

– Jak nędznie! – zawtórowali jednogłośnie radcy, którzy zawsze podzielali zdanie burmistrza, i podeszli bliżej do pomnika.

– Rubin wypadł mu z rękojeści miecza i oczu już nie ma, ani pozłótki – rzekł burmistrz – wygląda teraz jak ostatni żebrak.

– Jak ostatni żebrak – powtórzyli radcy.

– I w dodatku nieżywy ptak leży u jego nóg – oburzył się burmistrz. Będziemy musieli co prędzej wydać rozporządzenie, że ptakom wzbroniono na tym miejscu umierać. – A sekretarz burmistrza na poczekaniu wniosek ten zaprotokołował.

Wkrótce usunięto pomnik szczęśliwego księcia. – Przestał być ładny, więc jest bezużyteczny – objaśnił profesor historii sztuki.

Następnie przetopiono pomnik w giserni, a burmistrz zwołał zgromadzenie, by zdecydować, co począć z metalem.

– Oczywiście musimy mieć inny pomnik – rzekł burmistrz – niechże więc będzie mój!

– Mój! – równocześnie zawołali wszyscy radcy i rozpoczęli sprzeczkę. Gdy o nich słyszałem po raz ostatni, sprzeczka ta ciągle nie była ukończoną.

– Dziwne – mówił inspektor giserni – to pęknięte serce z ołowiu w żaden sposób nie da się przetopić. Musimy je odrzucić. – I odrzucili je na śmietnik, gdzie leżała martwa jaskółka.

– Przynieś mi dwie najkosztowniejsze rzeczy z tego miasta – rzekł Bóg do jednego ze swoich aniołów, a anioł przyniósł ołowiane serce i martwego ptaka.

– Dobry zrobiłeś wybór – rzekł Bóg – bo ptak ten wiecznie będzie śpiewał w mych rajskich ogrodach, a szczęśliwy książę wieki chwalić mnie będzie w moim złotym grodzie.

KONIEC

Pływa, jeździ konno, fechtuje, strzela, biega...

AGATA Z DRZONKOWA

Ma 16 lat. Ładna, zgrabna, wysportowana i pełna życia. Zawsze otoczona gronem przyjaciół. Wszędzie jej pełno. Na basenie, w sali gimnastycznej, na dyskotece. Nie lubi być samotna, łaknie wrażeń. Na hippodromie, gdy jedzie konno, czuje się jak w raju. Kocha konie i one odwzajemniają tę przyjaźń. Agata Rutkowska, bo o niej piszemy, uprawia pięciobój nowoczesny. Do niedawna zarezerwowany tylko dla najsilniejszych mężczyzn.

Pozazdrościły chłopakom

Wydawało się, że sport spod znaku konia i szpady, wymagający tylu umiejętności, żmudnego treningu i wielkiej sprawności fizycznej, nie jest stworzony dla słabej płci. Tymczasem emancypantki z Zielonej Góry rzuciły wyzwanie swym kolegom. Pięciobój nowoczesny kobiet ma kilkuletnią zaledwie tradycję i uprawiany jest dziś w niewielu krajach. Polki, wraz z Angielkami i Niemkami, były prekursorkami w tej dyscyplinie. Od trzech lat odbywają się już międzynarodowe zawody o Puchar Świata i od początku startują w nich nasze reprezentantki. Znany już szeroko, nie tylko w kraju, ośrodek w Drzonkowie koło Zielonej Góry jest praktycznie jedynym naszym centrum kobiecego pięcioboju, a miejscowi działacze, ze Zbigniewem Majewskim na czele, uważać się mogą słusznie za pionierów tego sportu wśród kobiet. Co roku jedna z imprez Pucharu Świata, który wkrótce zastąpiony zostanie oficjalnymi już mistrzostwami, odbywa się w Drzonkowie. Tu też trenuje grupa kilkunastu sportsmenek tej bardzo rzadkiej jeszcze specjalności.

Violetta i Agata

Józef Rutkowski jest z zawodu trenerem pływackim. Kiedyś prowadził zajęcia w szkole, a także w zielonogórskim „Transbudzie". Uczył pływać najmłodszych, szkolił zaawansowanych. Ma dwie córki – Violettę i Agatę. Obie zawsze towarzyszyły ojcu na basenie, więc szybko nauczyły się pływać nie gorzej od taty. Gdy w zielonogórskim „Lumelu" powstała sekcja pięcioboju, Józef Rutkowski zmienił pracę i odtąd zajmuje się pięcioboistami. Grupa jego młodych wychowanek z Violettą i Agatą także zaczęła trenować pięciobój. W wodzie czuły się już dobrze, jeszcze musiały nauczyć się jazdy konnej, strzelania z pistoletu, walki na szpady i biegać.

Starsza o trzy lata Violetta szybciej weszła w świat wielkiego sportu. Agata była najmłodsza w tej grupie. Skończyła ledwie 12 lat. Mogła tylko zazdrościć siostrze jej osiągnięć, a zwłaszcza zdobytego w 1978 roku tytułu mistrzyni Polski. Agata też wystąpiła w zawodach krajowych, ale zajęła dalsze miejsce. Otrzymała nagrodę dla najmłodszej uczestniczki. Rok później obie siostry wystartowały w Pucharze Świata i uplasowały się w pierwszej dziesiątce. Po czterech konkurencjach Violetta była druga, Agata – trzecia. Niestety, straciły te pozycje w biegu... Ale siostrzana rywalizacja już się skończyła. 19-letnia Violetta jest dziś studentką anglistyki w Gdańsku. W Trójmieście nie ma sekcji pięciobojowej i dziewczyna zrezygnowała ze sportu. Agata jest w lepszej sytuacji. Trenuje nadal i marzy o sukcesach.

Gdyby nie bieg

Józef Rutkowski stwierdza z przekonaniem, że Agata osiągnąć może więcej niż starsza siostra. Decydują o tym głównie predyspozycje. Jest opanowana, szybciej regeneruje siły, nie przeżywa zbyt mocno niepowodzeń. Znacznie lepiej radzi sobie też z końmi, a przede wszystkim nie czuje przed nimi lęku. Nawet gdy wierzchowce są nerwowe i złośliwe. Pływa znakomicie, strzela pewnie. Jej średnia ostatniego sezonu wyniosła 188 punktów na 200 możliwych. To lepiej od wielu chłopców. Z szermierką miała początkowo kłopoty, ale bardzo się poprawiła. Tylko ten bieg. Agatę nuży jednostajny wysiłek, denerwuje jego monotonność. Nic więc dziwnego, że stanowi on najsłabszy punkt 16-letniej pięcioboistki. Ale rezerwy, jakie tkwią w dziewczynie napawają optymizmem.

Jest uczennicą II Liceum Ogólnokształcącego – sportowego w Zielonej Górze. Godzinę po lekcjach jest już w Drzonkowie. To tylko siedem kilometrów od centrum miasta. Codzienny trening trwa do późnego wieczora. Na koniu, na strzelnicy, w basenie, na sali szermierczej. Są jeszcze zajęcia ogólnorozwojowe. W dyskusji z trenerami chciałem się dowiedzieć czy szesnastolatka jest w stanie znieść takie obciążenie? Ale z rozmów, jakie przeprowadziłem wynika, że ona to lubi, dla niej sport jest przede wszystkim rozrywką. I chyba dlatego zajęcia jej nie męczą. A swoją drogą kocha zawody, walkę. Jednym słowem ma mocny charakter...

Agata nie jest sportową męczennicą. Ona zawsze znajdzie czas na rozrywki. Często – po treningu – wymyka się na tańce, do kina. Ostatnio też często znikała. Ojciec denerwował się. I co się okazało? Chciała mieć prawo jazdy. Załatwiała sobie gdzieś w LOK kurs samochodowy i już go kończy. Nikt o tym nie wiedział. Lubi sprawiać niespodzianki. Kiedyś na jednej z przeszkód parcoursu spadła z konia, boleśnie się potłukła. Lekarz zalecił długi odpoczynek i zakazał treningu. Następnego dnia Agata wystartowała w drugiej konkurencji. Kryła olbrzymi siniak na udzie i ani słyszeć nie chciała o wycofaniu się z zawodów. Taka jest uparta.

Mamy nadzieję, że dopnie celu. Już teraz ma w kolekcji kilka cennych osiągnięć. Niedawno została międzynarodową mistrzynią RFN, wyprzedzając kilka uznanych rywalek. To wzmogło jej ambicje i miłość do dyscypliny. Dyscypliny, która wyciska pot u najtwardszych mężczyzn.

TOMASZ TRZCIŃSKI

Fot. **archiwum**

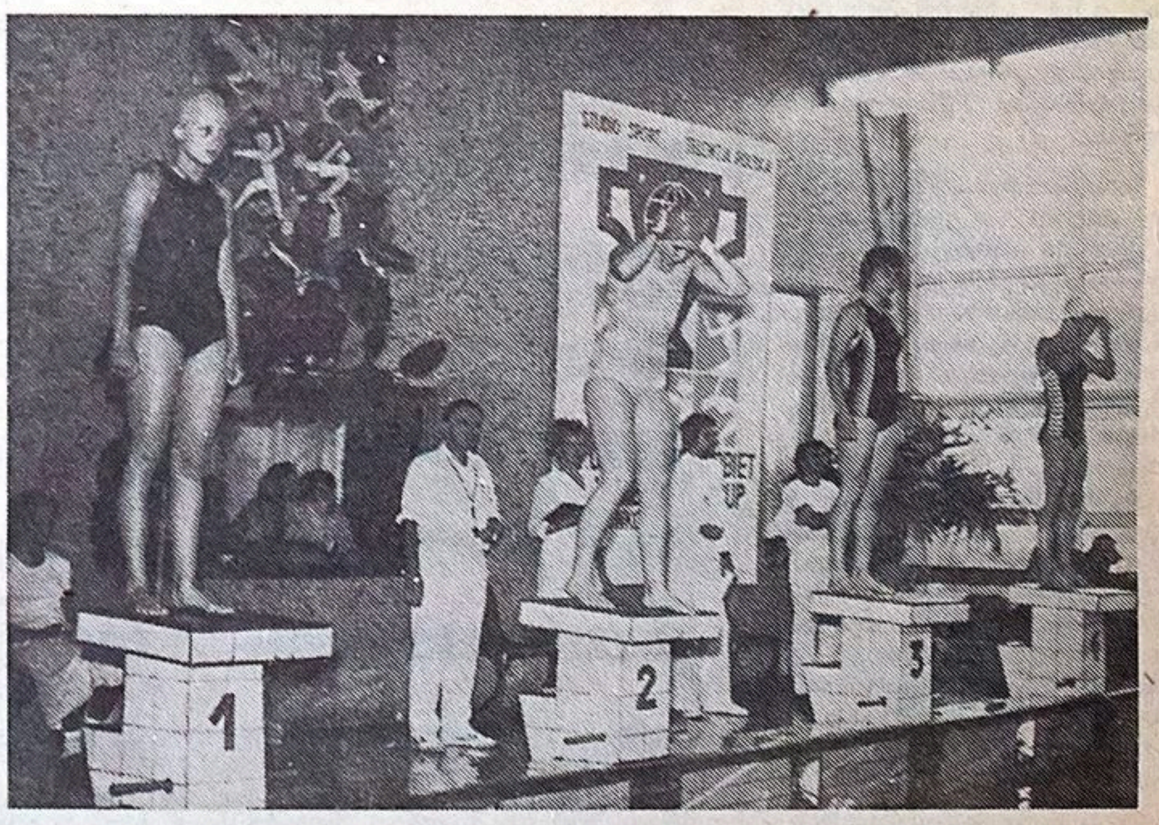

Od pięcioboistek wymaga się wszechstronnych umiejętności. Pływania także. Na zdjęciu, pierwsza z lewej, Agata Rutkowska. Obok jej siostra Violetta

(po raz ostatni)

I jest już całkiem nowy rok. I bardzo dobrze, lubię wszystko, co nowe. To z jednej strony, bo z drugiej – to źle, bo to dowód, że czas leci ogromnie szybkimi krokami do przodu. Och, żeby to kroki były, to susy są, takie... siedmiomilowe. Przecież to tak niedawno było, gdy pierwszy raz pisałam do „Świata Młodych". Miałam straszną tremę. Nic dziwnego, byłam wtedy w siódmej klasie i doświadczenia za grosz. Od tamtej pory minęło ponad cztery lata. Dużo, prawda? Sama się sobie dziwię, na ogół jestem przecież strasznie niesystematyczna i dość łatwo się zniechęcam. Więc nie tylko się dziwię, ale również się podziwiam. Trochę to może i butnie brzmi, ale tak jest. Oczywiście wolałabym, żeby to inni mnie podziwiali (Michał miał chyba rację twierdząc, że jestem okropnie zarozumiała!), ale skoro nikt się nie kwapi, muszę sama. Człowiekowi jest przecież potrzebne poczucie sukcesu!

Od rzeczy gadam... Przepraszam, ale to dlatego, że nie wiem jak przejść do sedna sprawy. Może od razu? To moje ostatnie pięć minut. Nie, nikt mnie nie wygryzł z tej rubryki, ani mi nie kazał. Sama doszłam do tego wniosku. Uważam, że już dosyć, że wystarczy, bo to chyba zaczyna być nudne. Nie dla mnie oczywiście, ja to bym mogła bez końca, ale dla tych co czytają. Więc dlatego. A poza tym, to ja teraz muszę się już tak naprawdę solidnie zabrać za naukę, bo jak mówi mój tata – zagwizdał ostatni gwizdek. Za rok zdaję maturę, chcę się dostać na studia.

Być może zresztą, że mimo wszystko nie zdobyłabym się na tę heroiczną decyzję, gdybym nie poznała Grażyny. Tak sobie kiedyś o tym moim pisaniu rozmawiałyśmy i Grażyna powiedziała, że ona też by bardzo chciała pisać. Więc myślę, że skoro chce, to się chyba dobrze składa. I dla niej, i dla mnie, i dla wszystkich innych.

Grażyna jest zastępową w mojej drużynie w podstawówce. Chodzi do siódmej klasy, czyli tak samo jak i ja, gdy pierwszą „pięciominutówkę" przyszło mi napisać. Myślę, że będzie inaczej trochę niż ja pisała, bo jest...kopnięta na punkcie swojego zastępu i niemal nic innego w świecie dla niej nie istnieje. Ale jest w ogóle fajna i bardzo mądra. Ja ją podziwiam, bo sama byłam w siódmej klasie o wiele głupsza. Na Grażynę mówią – Gaja, a Grażyna tylko wtedy, gdy rzecz jest jakaś bardzo poważna. Zastępową jest dopiero od niedawna, więc pewnie dlatego tak się przejmuje. Ale pewnie sama to wszystko opisze, już za tydzień.

A ja, ja..., no po prostu – cześć!

ANKA

Świat Muzyki

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

... I NIECH TAK JUŻ ZOSTANIE

Polska Agencja Prasowa informowała:

Nowy Jork. Zabójstwo Johna Lennona, uważanego powszechnie za intelektualnego przywódcę Beatlesów, przyjęte zostało przez pokolenie jego wiebicieli w USA jako wielki wstrząs. Przez całą noc z 8 na 9 bm, przed budynkiem „Dakota", w którym mieszkał Lennon i jego żona Yoko Ono i przed którym został zastrzelony, gromadził się tłum złożony z około tysiąca osób. Przy akompaniamencie gitar śpiewano znane piosenki Beatlesów. Zabójca Lennona, którego zatrzymała policja, przyjechał specjalnie z Hawajów i przez kilka dni kręcił się koło słynnego budynku przy zachodniej części Parku Centralnego. Na kilka dni przed zastrzeleniem Lennona poprosił go o autograf na nowym albumie z jego nagraniami. Do Nowego Jorku przyjechał z pistoletem i z pozwoleniem na posiadanie broni. Komentatorzy amerykańscy stawiają tę śmierć w szeregu najsłynniejszych morderstw w powojennej historii USA, takich, jak zabójstwa obydwu braci Kennedych czy pastora Luthera Kinga...

Tyle PAP...

John Lennon urodził się 9 października 1940 roku w Liverpool. Wychowywała go ciotka, ponieważ rodzice żyli w separacji. Ukończył Dovedale Primary School, Quarrybank Grammar School i Liverpool College of Art. Pierwszą jego żoną była Cynthia Powell, która urodziła mu syna Juliana. W roku 1968 małżeństwo to już nie istniało, John poślubił na Gibraltarze Yoko Ono. Uważany za leadera Beatlesów, pierwszy zdecydował się opuścić tę grupę. Wyjechał do USA. Pierwszego singla pod firmą „Plastic Ono Band" („Give Peace A Chance") nagrał w roku 1969, kiedy oficjalnie istniał jeszcze zespół The Beatles. Mówiło się, że jest pod wpływem Yoko Ono, że to właśnie ona namawia go do tworzenia bardziej awangardowej muzyki, co potwierdzały albumy „Two Virgins", „Life With The Lions", „Wedding Album". Jakby dla kontrastu we wrześniu 1969 roku utworzył Lennon grupę stricte rock'n'rollową, z którą wystąpił na festiwalu w Toronto. Grali z nim wtedy Eric Clapton, Alan White i Klaus Voormann. Jako jedyny z Beatlesów nagrał album z byłym kolegą z zespołu Ringo Starrem. Krytycy najwyżej ocenili jego płytę „Imagine", wydaną w roku 1971. Tytułowy utwór stał się wielkim przebojem w USA. Na listy brytyjskie trafił dopiero cztery lata później. Album „Imagine" był bezprzykładnym atakiem na McCartneya (piosenka „How Do You Sleep"). W roku 1975 Yoko Ono urodziła syna, John otrzymał wreszcie pozwolenie na stały pobyt w USA. Od tej pory zajął się wychowaniem dziecka, przestał nagrywać i występować. Do muzyki wrócił pół roku przed śmiercią nagrywając „Double Fantasy". W jednym z ostatnich wywiadów powiedział: „*Zadałem sobie trud, aby odkryć, że byłem Johnem Lennonem przed Beatlesami i będę nim po Beatlesach i niech tak już zostanie...*"

WYBRANA DYSKOGRAFIA:

Single:

Give Peace A Chance / Remember Love – Plastic Ono Band – 4.07.69

Cold Turkey / Don't Worry Kyoko Mummy's Only Looking For Her Hand In The Snow – Plastic Ono Band – 24.10.69

Instant Karma / Who Has Seen The Wind – Plastic Ono Band – 6.02.70

Power To The People / Open Your Box – John Lennon and Yoko Ono – 5.03.71

ALBUMY:

Two Virgins – John Lennon and Yoko Ono – 29.11.68

Life With The Lions – John Lennon and Yoko Ono – 2.05.69

Wedding Album – John Lennon and Yoko Ono – 14.11.69

Live Peace In Toronto 1969 – The Plastic Ono Band – 12.12.69

John Lennon / Plastic Ono Band – 11.12.70

Imagine – John Lennon – październik 1971

Some Time In New York City

Mind Games

Walls And Bridges

Rock'n'Roll

Shaves Fish

Double Fantasy

Standing in the dock at Southampton,
trying to get to Holland or France.
The man in the „mac" said
„You've got to go back,
you know they didn't even give us a chance".

You know it ain't easy,
You know how hard it can be.
The way things are going,
They're gona crycify me.

Fin'lly made the plane into Paris,
honey mooning down by the Seine.
Peter Brown called to say,
„You can make it O.K.
You can get married in Gibraltar near Spain".

You know it ain't easy...

Caught the early plane back to London,
fifty acorns tied in a sack.
The men from the press said,
„We wish you success,
it's good to have the both of you back".

You know it ain't easy...

Saving up your money for a rainy day,
giving all your clothes to charity.
Last night the wife said,
Oh boy, when you'r dead you don't take
nothing with you but your soul.

The Ballad Of John And Yoko

(For Organ: Registration No. 1)

JOHN LENNON and PAUL McCARTNEY

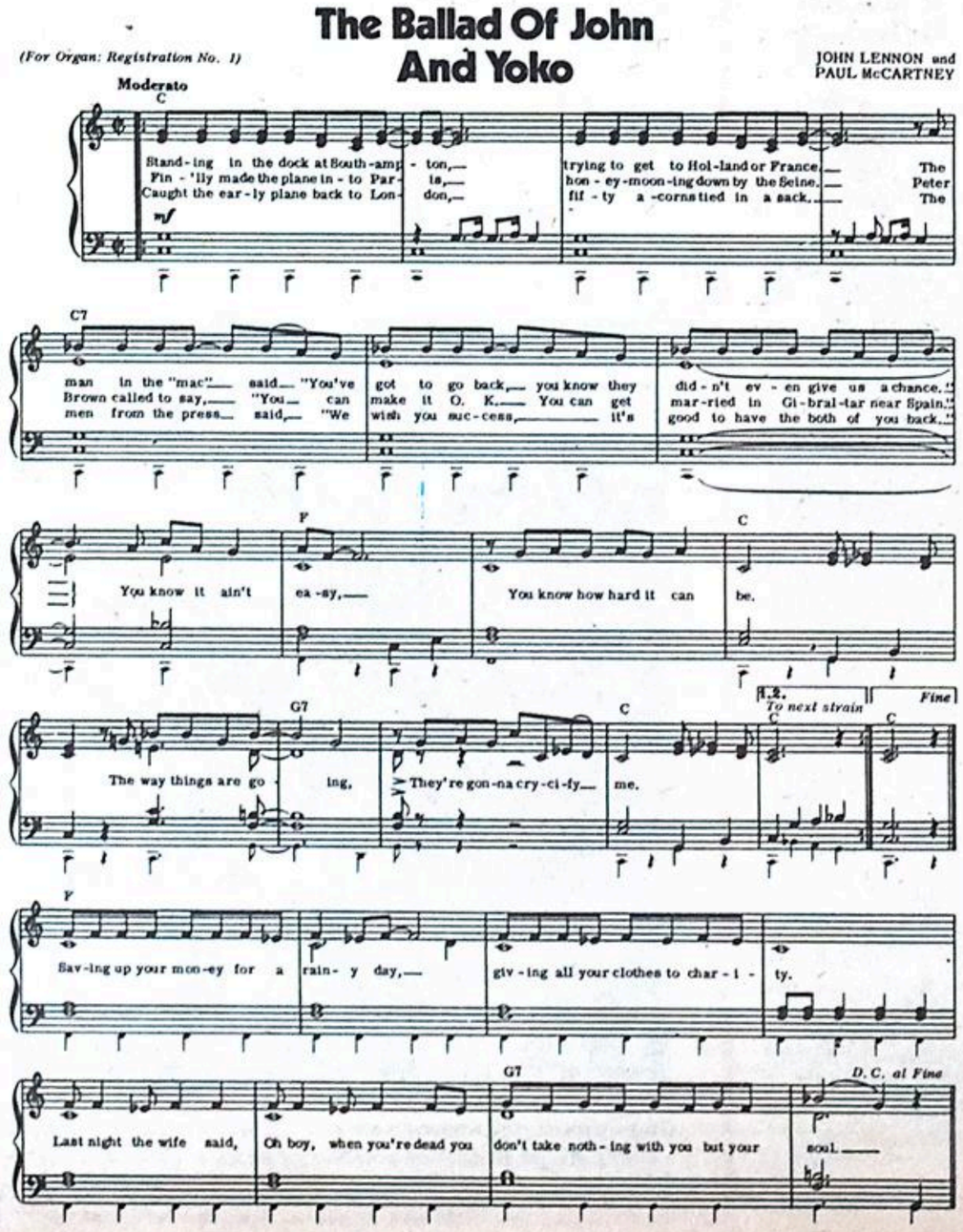

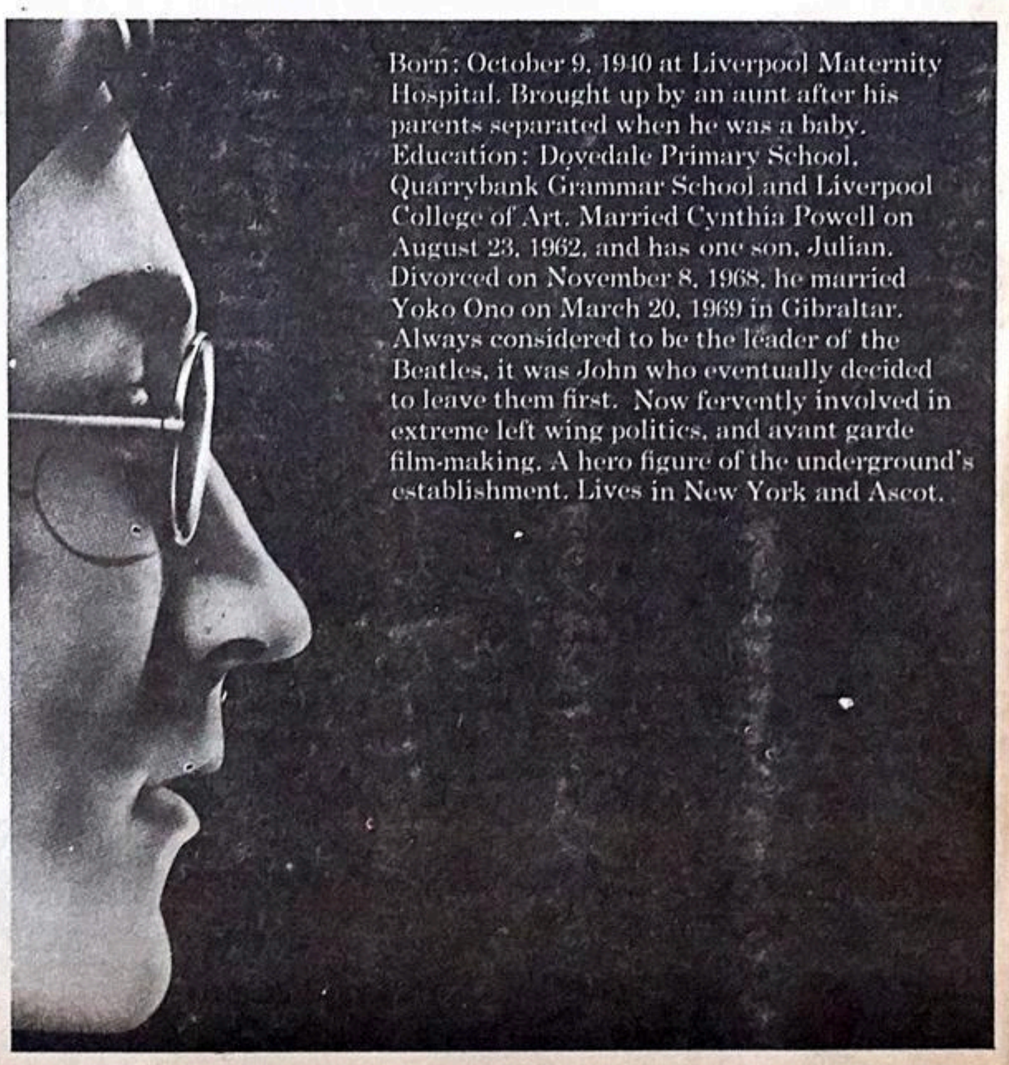

Born: October 9, 1940 at Liverpool Maternity Hospital. Brought up by an aunt after his parents separated when he was a baby. Education: Dovedale Primary School, Quarrybank Grammar School and Liverpool College of Art. Married Cynthia Powell on August 23, 1962, and has one son, Julian. Divorced on November 8, 1968, he married Yoko Ono on March 20, 1969 in Gibraltar. Always considered to be the leader of the Beatles, it was John who eventually decided to leave them first. Now fervently involved in extreme left wing politics, and avant garde film-making. A hero figure of the underground's establishment. Lives in New York and Ascot.

abrakadabra

CZYLI UNIWERSALNE GRY I ZABAWY DLA WSZYSTKICH

ZEBRAŁ BEN AKIBA

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś gości u nas nasz stary przyjaciel Kuba – detektyw, który w mig rozwiązuje tajemnicę afrykańskiego polowania.

Jest także druga zagadka obrazkowa, ale o niej nic więcej nie powiem. Kłaniam się moją czarnoksięską czapką – do przyszłej soboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

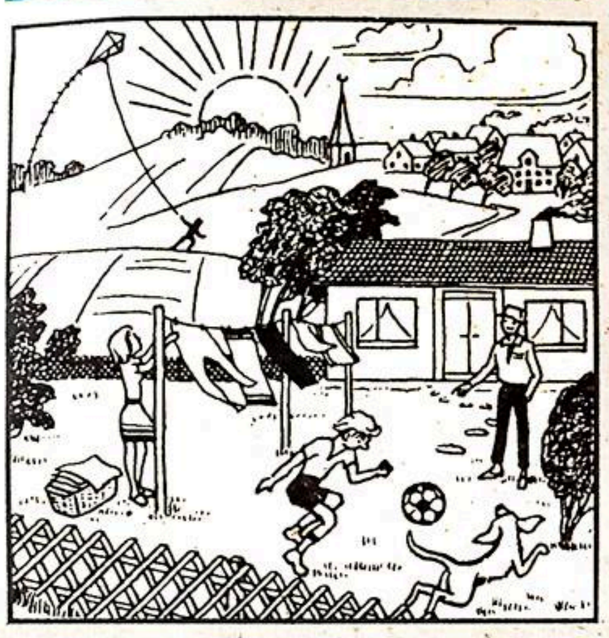

TYLKO JEDEN BŁĄD

Rysownik narysował tu letni zachód słońca na wsi. Popełnił jednak jeden bardzo ważny błąd. Jeśli wydedukujesz w ciągu 3 minut, na czym ten błąd polega – gratuluję!

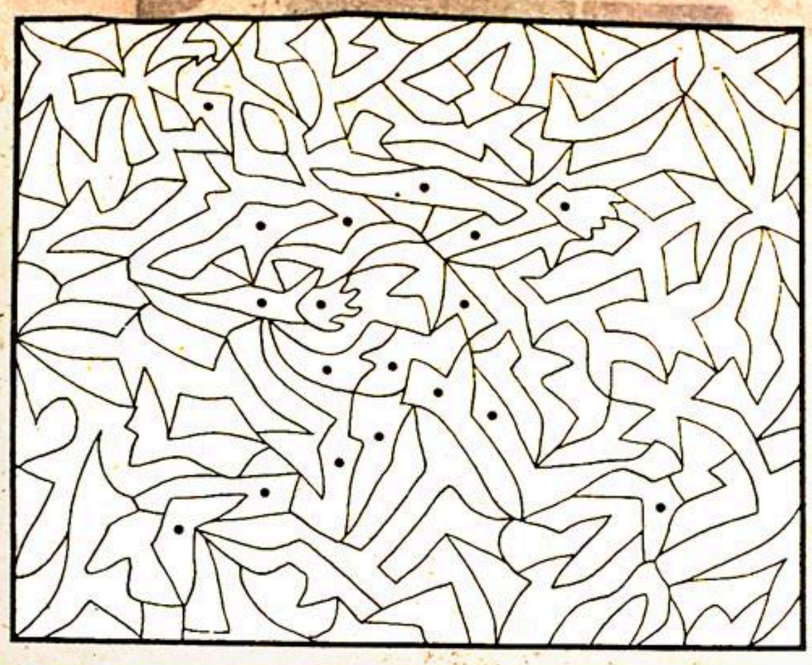

TEATR CIENI ABRAKADABRY

Popatrz na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem te jego części, które oznaczono kropkami. Czy układają Ci się one w jakąś całość – wizję? Teraz weź ołówek lub mazak i starannie zamaluj tylko te obszary z kropkami. Natychmiast dostaniesz rozwiązanie.

Odpowiedzi z poprzedniej soboty

PODZIEL NA CZTERY i TEATR CIENI ABRAKADABRY: rozwiązania na rysunkach. **ZYZIO KUPUJE PREZENT:** Zyzio kupił trąbkę z przyciskami, która leżała przed sprzedawcą.

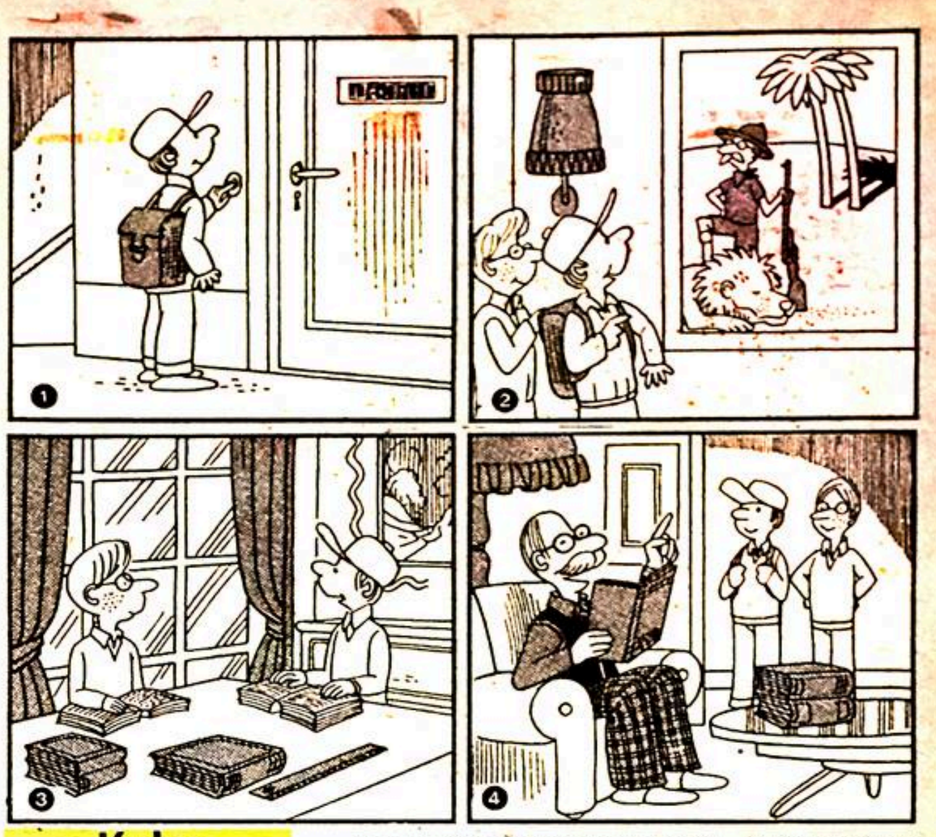

Kuba detektyw znów na tropie

Nasz abrakadabrowy przyjaciel – Kuba detektyw odwiedził niedawno (rys. 1) swojego kolegę z klasy – Wicka. Wicek pochwalił się, że jego dziadek polował kiedyś w Afryce, a nawet ustrzelił lwa, co zostało uwiecznione na wielkim zdjęciu (rys. 2). Kiedy chłopcy odrabiali razem lekcje, Kubę przez cały czas dręczyła myśl, że w tym polowaniu jest „coś nie tak" (rys. 3). Kiedy wychodził od Wicka i żegnał się z jego dziadkiem (rys. 4), już wiedział, na czym polega cała sztuczka. Co odkrył Kuba?

Zadanie-błyskawica

Kolarz-wędrownik pokonuje na rowerze w ciągu trzech dni trasę długości 74 km. Codziennie przejeżdża trzy czwarte dystansu, jaki przejechał poprzedniego dnia. Ile kilometrów przejechał pierwszego dnia wędrówki?

Zadanie premiowane nr 317

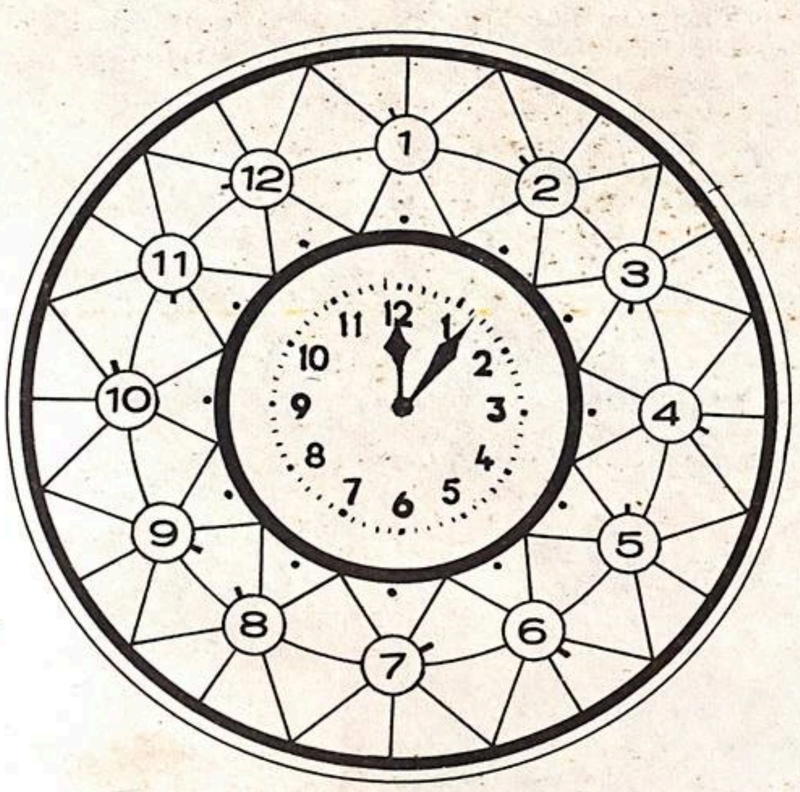

WIRÓWKA

Odgadnij wyrazy 7-literowe o podanych znaczeniach i wpisz je wokół liczb do diagramu. Początek wpisywania w polu oznaczonym kreską, kierunek – prawoskrętny. Litery w polach oznaczonych kropką, czytane po obwodzie (rozpoczynając od pola pod liczbą 1), utworzą rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 317".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród. ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) radziecka republika, której stolicą jest Kijów, 2) rolną przeprowadzono w Polsce na podstawie dekretu PKWN z 6 września 1944 r., 3) dawniej: robotnik najemny w gospodarstwie rolnym, 4) obuwie sportowe, 5) miłe zapachy, 6) obchodzi imieniny 15 czerwca, 7) znane kąpielisko i ośrodek turystyczno-wypoczynkowy na Riwierze Włoskiej (nazwę ułóż z liter wyrazów OSA+SIAL), 8) mister w tytule znanego wiersza Samuela Marszaka, 9) opiłki drewniane, 10) gryzoń z rodziny myszowatych; wyrządza szkody w lasach i sadach, 11) jezioro na granicy USA i Kanady, najmniejsze z grupy Wielkich Jezior, 12) małe rybki z rodziny karpiowatych (wyraz rozpoczyna się nazwą kwiatu).

Dla ułatwienia podajemy pierwsze litery wyrazów (w kolejności alfabetycznej): A, A, J, N, O, P, R, R, T, T, T, U.

Rozwiązanie zadania premiowanego nr 313 ze 142 numeru „Świata Młodych" z dnia 6.12.1980 r.

Prawidłowe rozwiązanie – Prawoskośnie: Tamiza, kolizja, oliwa, debata, zabieranie, kopa, buty, watolina, szczecina, łasica, malina, piroga, komoda, dola, Warna. Lewoskośnie: tabu, komitywa, waliza, okazja, delicje, zabawa, kobieta, para, niedomoga, towar, szczelina, łacina, Masina, Pilica, korona, lada.

Nagrody wylosowali:

Joanna Błaszkiewicz – Grudziądz, Ewa Jabłońska – Kudowa-Zdrój, Anna Jamrożek – Kielce, Ewa Łojewska – Dzierzgoń, Maciej Machowski – Lubań Śląski, Sławomir Mikołajewski – Płock, Waldemar Omen – Warszawa, Artur Piasecki – Kielce, Sławomir Światlak – Sosnowiec, Danuta Trojanowska – Częstochowa.

4	×		−		6
×		+		+	
	×		−		7
−		−		−	
	+		+		4
7		6		8	

Nie musisz liczyć do dziesięciu

Nie musisz nawet liczyć do dziesięciu, aby rozwiązać tę liczbową łamigłówkę. Wystarczy wpisać odpowiednie liczby jednocyfrowe w puste kratki tak, aby działania w poziomie i w pionie dawały wynik wpisany już w wystające kratki po stronie prawej i u dołu. Trzeba tylko trochę pomyśleć.

Ach, ta mama. Czy ona umie czytać w myślach?

– Serio? – spytała Ida z drżącym podbródkiem.

– No, jazda, wyznawaj matce, co zaszło.

– Czy koniecznie musiało coś zachodzić?

– Przecież widzę cię na wylot. Ktoś ci zrobił dużą przykrość, tak? I teraz ci się to przypomniało. Tak?

– Ehe – szepnęła Ida i dwie strużki łez poleciały po jej policzkach.

– Nie chcesz powiedzieć?

– Nie... mogę... – odpowiedziała drżącym głosem Ida i nagle chlusnęła przez nią fala żałości, unosząc resztki jej opanowania jak źdźbła słomy. – Ach, mamo! – krzyknęła zanosząc się od płaczu. – Dlaczego ja jestem taka brzydka?!

W połowie czwartego szlochu, rozrywającego jej chudą pierś, Ida dosłyszała, że mama coś mówi, klepiąc ją uspokajająco po ręce, więc urywanym głosem zawołała:

– Nie, nie pocie... szaj mnie.. ja już nie mo...gę znieść tego pocie... szania! Jak ty mi zaczniesz wma... wiać, że jestem ładna... to chyba się upiję!!!

– Ależ wcale nie jesteś ładna! – powiedziała mama spokojnie.

– Nie?!

– Przecież teraz nie możesz być ładna. Przechodzisz etap brzydkiego kaczątka. Masz długie ręce i nogi, jesteś trochę za chuda...

– Ach! Więc i ty to zauważyłaś! – wybuchnęła Ida nowym lamentem.

– Jak mogłam nie zauważyć – powiedziała mama z uśmiechem. – Ja cię przecież bardzo uważnie obserwuję. Jedną mam tylko Idusię, no nie?

– Ach, mamo! – zapłakała Ida, rzucając się matce na szyję przewracając stołek i prując dwa rzędy włóczkowej spódnicy, leżącej na pulpicie maszyny.

– No, no, no – powiedziała mama. – Chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Pocałowała Idę w bulgocący nos i wstała.

* * *

Pokój rodziców był przytulnym, kwadratowym pomieszczeniem o wielkich oknach. Były tu dwa tapczany, mnóstwo książek, stary fotel oraz biurko ojca. Pod oknem na niskim stoliku pysznił się wielki rododendron o błyszczących ciemnozielonych liściach – przedmiot dumy babuni, która osobiście wyhodowała to paskudztwo.

– Siadaj tu – powiedziała mama i pociągnęła córkę na tapczan, w cień rododendrona. Sięgnęła na półkę i wyjęła spomiędzy książek grube albumy z fotografiami.

Ida znała je dobrze; wszystkie zresztą siostry Borejko uwielbiały te pożółkłe tomiska, pełne starych fotografii jakichś zapomnianych ciotek i kuzynek. Były tu też i dwa nowsze albumy, zawierające szczegółową ilustrowaną historię ich czterech – Gaby, Idy, Nutrii i Pulpecji. Teraz jednak mama otworzyła album ze swego dzieciństwa i młodości.

– Gdzieś tu powinno być takie zdjęcie – powiedziała, przeglądając sztywne karty. – Czekaj. Pięćdziesiąty pierwszy rok. O, już je mam!

Nieduża fotografia amatorska ukazywała przeraźliwie chudą dziewczynę o cienkich jasnych warkoczykach sięgających ramion i cienkich długich nogach wystających spod pogniecionej spódnicy. Dziewczyna kuliła ramiona w sposób zdradzający wielką nieśmiałość; uśmiechała się bojaźliwie, a jej okrągłe małe oczy wyrażały przestrach i smutek. Nieszczęsna ta istota stała niezgrabnie pod murkiem, podczas gdy na dalszym planie widać było roześmiane, zagadane lub biegające beztrosko koleżanki.

– To ja – oświadczyła mama z politowaniem patrząc na swój wizerunek sprzed dwudziestu ośmiu lat. – Miałam wtedy tyle lat co ty teraz. Trudno sobie wyobrazić brzydsze stworzenie.

– Faktycznie – ucieszyła się Ida.

– A to zdjęcie zrobiono w siedem lat później. Proszę porównać.

Na tej błyszczącej dużej fotografii widniała mama, podobna już do siebie, ale młodsza i ładniejsza. Miała puszystą fryzurę, szpilki na pięknych nogach, śmiały makijaż i sukienkę w kształcie bombki. Śmiała się od ucha do ucha, ukazując wszystkie wspaniałe zęby, a przez jej pierś biegła na ukos szarfa z napisem: „Miss Juvenaliów 1958". Późniejsza mama Gabrieli, Idy, Nutrii i Pulpecji wymachiwała wielkim bukietem róż, a wokół niej wiwatowały tłumy młodzieńców z transparentami „WSE pozdrawia najmilszą Milkę".

Cdn.

2

NA SZLAKU BEZPRAWIA

BINIO BILL

TEKST I RYSUNKI: Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH

Harcerska Gazeta Nastolatków

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępcá red. nacz.)

TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjume RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 8221/G O-38

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Małgorzata Musierowicz

37

IDA SIERPNIOWA

„A więc mamy południe?" – zdziwiła się Ida, słysząc w głębi mieszkania wiadomości dziennika radiowego. Dlaczgo to ona tak długo spała?

„Marek" – poderwało ją nagłe przypomnienie. Rety, już południe! Obiecywała sobie przecież, że już o siódmej rano będzie u Lisieckich; o tej to porze miał tam przybyć zdążający do pracy doktor Kowalik.

Ależ zaspała!

Zaklęła w duchu, łapiąc w locie jakieś fragmenty odzieży i pędząc do łazienki.

W kuchni hałasowała maszyna dziewiarska. Ubrana i umyta już Ida wpadła tam w wielkim pędzie, gorączkowo szukając kawałka chleba, który mogłaby łapsnąć i popędzić na ulicę Norwida.

– Hej! A ty dokąd! – zawołała na jej widok mama, podnosząc znad maszyny siwiejącą głowę. Mama, która przed laty porzuciła pracę biurową, by zająć się wychowaniem dzieci, swoich czterech córek, dorabiała dzierganiem swetrów dla spółdzielni „Świt". Teraz miała na warsztacie wiśniową spódnicę z cienkiej wełenki. – Ida pytam, dokąd tak się spieszysz? – powtórzyła.

– Oj... nie mam czasu ci opowiadać, mamo – jęknęła Ida, wygrzebując z pudła na chleb jakąś podsuszoną kromkę. – Cześć, lecę do Lisieckich.

– Iduś! No, czekajże. Jeszcze nie wiesz, co zaszło. Ida zatrzymała się z oczami w słup.

– Lisiecki umarł?! – jęknęła.

– Skąd. Zdrów jak rybka. Dzwonił Krzysio. Doktor Kowalik był tam rano, zbadał chłopca i stwierdził, że wszystko jest w porządku, tyle że mały musi jeszcze poleżeć w łóżku. Doktor mówi, że widzi w tobie godną swoją następczynię.

– He, he.

– Zaproponowałam, że zabierzemy chłopców do siebie, żeby mieli przynajmniej jakąś opiekę, ale Krzysio powiedział, że to zbyteczne.

– Tak? Dlaczego?

– Bo sam już ich zabrał do dziadka, na Krasińskiego.

– Coś takiego! – powiedziała Ida, ugryzła kawał chleba i przysiadła na stołku. – Dobra, to ja już nie muszę nigdzie pędzić. Basia się nimi zajmie.

Mieszkanie było puste, cieniste i chłodne, choć na dworze słońce świeciło coraz jaskrawiej, a powietrze nad jezdnią drżało od upału.

Ida odeszła od okna.

– Żebyśmy to w Czaplinku mieli taką pogodę! – westchnęła.

– Masz, zjadaj to – mama postawiła na stole kubek zimnego mleka i kanapkę z twarogiem. Usiadła do swojej maszyny. – Tata dziś rano powiedział z wyrzutem, że gdybyśmy tylko trochę poczekali, mielibyśmy cudowne wakacje. No, jedz.

– A właśnie, gdzie są wszyscy?

– No, gdzieżby. W Kiekrzu, nad jeziorem. Pojechali pierwszym porannym autobusem. Ojciec powiedział, że zostały mu już tylko cztery dni urlopu i on to wykorzysta do maksimum.

– A ty, mamo?

– No, co ja. Ja nie lubię upału, przecież wiesz.

Ida ponuro siorbnęła mleka. No, tak. Przez chwilę miała nadzieję, że mama zrezygnowała z wycieczki ze względu na nią. Ale skoro sama mówi, że to z powodu upału...

„Biedne zakompleksione stworzenie" – obudziło się w niej przytajone dotąd zdanie.

Mama spojrzała na jej wydłużoną minę, zaświeciła błękitnymi oczami i pociągnęła córkę za rudy loczek nad czołem.

– No? – spytała.

– Co?!... – odburknęła Ida z oczami w kosmosie.

– No, więc naprawdę to zostałam ze względu na ciebie.